Nr. 6 (443). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 4 lutego 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok X.

ŚWIATOWID

IDZIE LUTY, OBUJ BUTY.



Tak mówi przysłowie. Dzisiejsze pokolenie jednak nie boi się zimy a tembardziej lutego, który uchodzi za najsroższy miesiąc, i-z radością spędza wolny czas na śniegu, rozkoszując się słońcem, które coraz silniej świeci i opala. Zdjęcie

ECHA TYGODNIA.



GRODNO CZUWA. W tych dniach odbyło się w Grodnie poświęcenie świetlicy Związku Strzeleckiego miejskiego. W związku z tą uroczystością obchodzono 70-lecie powstania styczniowego. Podniosła ta manifestacja patrjotyczna, zgromadziła tłumy młodzieży (na zdjęciu).



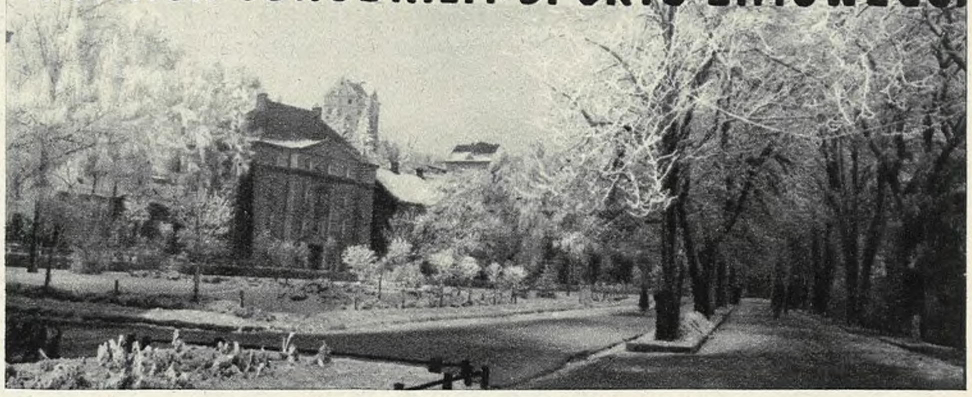
FRANCJA I NIEMCY NA FALI PRZESILENIA RZĄDOWEGO. W ub. tygodniu podał się do dymisji gabinet francuski Paul Boncoure'a i niemiecki dniach podał się do dymisji gabinet francuski Paul Boncoure'a i niemiecki gen. Schleichera. W obu wypadkach powodem dymisji były trudności gospodarcze i brak skoordynowanej większości, któraby wzięła odpowiedzialność za rządy. W Niemczech rządy objął Hitler.



PAN PREZYDENT WŚRÓD DZIATWY. Dnia 29 ub. m. dzieci ze szkoły powszechnej nr. 114 z najbiedniejszego przedmieścia Warszawy, Targówka, wykonały podczas nabożeństwa w kaplicy zamkowej szereg pieśni i utworów orkiestrowych. Po nabożeństwie p. Prezydent, otoczony dziatwą (na zdjęciu), spędził kilka chwil na rozmowie z niemi.

Ag. Fot. „Światowid".

KRYNICA OŚRODKIEM SPORTU ZIMOWEGO.



Widok deptaku przy okiści śnieżnej.

Rozwój sezonu zimowego w Krynicy postępuje stale naprzód dzięki nadzwyczajnym przyrodzonym warunkom terenowym i atmosferycznym, tak, że stała się ona centrum sportów zimowych. W propagandzie sezonu zimowego odegrały rolę nie cudowne lecznicze źródła, ani kąpiele krynickie i borowina, lecz pojawienie się zastępów sportowców o czerstwych, opalonych słońcem twarzach.

To też sfery miejscowe postarały się o szereg atrakcyj w porze zimowej. Reprezentowane są tu wszystkie działy sportów zimowych, jak królewskie narciarstwo, emocjonujący hokej, towarzyskie łyżwiarstwo, miłe saneczkarstwo i bobslegh znalazły trwałe oparcie we wspaniałych urządzeniach, nie ustępujących zagranicznym.

Rozrywek dostarcza Krynica w sezonie zimowym coniemiara, więc przedewszystkiem przepiękne spacery i wycieczki w bliższe i dalsze okolice. Z rozrywek innego rodzaju dancing codzienny w restauracji Domu Zdrojowego, częste zabawy towarzyskie, wieczory, urządzone przez klub towarzyski w salonach Domu Zdrojowego, widowiska teatralne, kino, koncerty, gościnne występy różnych znakomitości, wspaniała orkiestra zdrojowa itp. Ceny mieszkań, pensjonatów, kąpieli, zabiegów niskie.

Toteż sfery miejscowe postarały się o szereg atrakcyj w porze zimowej. Krynica jest najwspanialszą bazą sportów zimowych w Polsce, zakrojoną na szeroką skalę, gdzie wypoczywa się i bawi miło i tanio. **(Z. M.).**

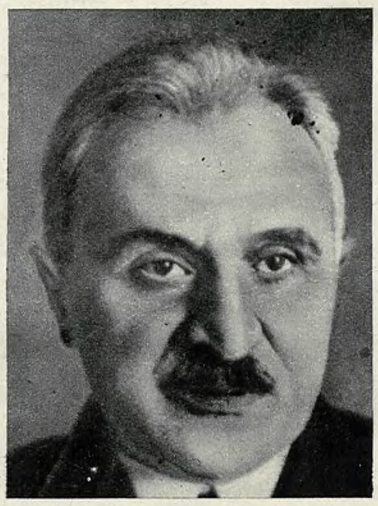


Krynica w śniegu. Widok ogólny z Domem Zdrojowym.



NA WĘGRZECH POSZŁO DOSKONALE. — W zawodach o mistrzostwa narciarskie Węgier wzięła udział także polska ekipa i zdobyła pierwsze cztery miejsca. Na zdjęciu Skupień na starcie.

Magyar Film Iroda — Budapeszt.



LAUREAT NAGRODY PASTWOWEJ. Państwowa nagroda literacka na rok 1933. została przyznana znakomitemu pisarzowi Wacławowi Berentowi (na zdjęciu) za powieść p. t. „Wywłaszczenie muz".

Ag. Fot. „Światowid".

DLACZEGO NAPISAŁEM „UŚMIECH HRABINY"?



Zofja Nakoneczna (po lewej) i M. Dulębianka w komedji: „Uśmiech Hrabiny" w teatrze Letnim w Warszawie.

— Jaki cel miałem, pisząc ostatnią moją komedję?

Wyraźny, zdecydowany... Pragnąłem dać widowisko, na którem ludzie spracowani, skłopotani troskami dnia codziennego, mogliby znaleźć parę godzin wypoczynku w atmosferze pogody, wesołości i ruchu, który jest czynnikiem nieodzownym dla obecnego stanu naszych nerwów.

Teatry — i ich zadanie — muszą być zróżniczkowane. Obok scen, służących wielkiej Sztuce, obok intymnych sal, w których dobrze czują się utwory o subtelnielszych walorach literackich — potrzebne są również teatry rozrywkowe, w których harce wyprawia satyra, w których rozbrzmiewa radosny rechot śmiechu, niehamowana wesołość.

Zwłaszcza, że w mojem przekonaniu dobrego humoru w dobie obecnej potrzeba społeczeństwu więcej niż kiedykolwiek. Ciężka walka o byt kwasi upodobania ludzkie, zatruwa dusze beznadziejnym pesymizmem. Czyż jest na to lepsze lekarstwo, jak beztroski, niefrasobliwy śmiech, wolny od jadu złośliwości i szyderstwa?

Oto dlaczego pod schyłek mojej karjery komedjopisarskiej, w okresie szalejącego kryzysu, zacząłem pisać utwory lżejsze, widowiskowe. „Panienka z dancingu", „Noc Sylwestrowa", teraz — „Uśmiech Hrabiny"... Zarzucają mi pewni krytycy, że szukam sukcesu. Ależ tak, oczywiście, bo sukces świadczy przecież zawsze o tem, że dany utwór uczynił zadość jakiejś istotnej potrzebie. Pisałem zawsze tylko i wyłącznie dla publiczności. I mogę to stwierdzić z wdzięcznością — publiczność wzamian nie skąpiła mi swych względów.

Przytem nęcił mnie rodzaj widowiska, bardzo teatralnego, w którem autor musi wciągnąć do wydatnie artystycznej współpracy artystów, reżysera, dekoratora, muzyka... To jest, w mojem przekonaniu, przyszłość sztuki scenicznej lepszego pokroju, sposób, praktykowany już zresztą na Zachodzie i w Ameryce, u nas przez polskich autorów dotąd nie próbowany.

Dawna farsa przeżyła się. Delikatny dowcip wykwintnych komedyj djalogowych, do niedawna tak ceniony, dzisiejszej publiczności wydaje się cokolwiek nikły i mdły. Kinematograf i rewje nie pozostały bez wpływu. Ma-ż teatr zrezygnować z tego odcinka, odstąpić bez walki, czyhającym po zdobycz teatrzykom rewjowym i kinematografom? Teatr nie może zasklepiać się w formułach. Wszystko dokoła nas zmienia się — i zmienia się w coraz szybszem tempie. Przeobraża się publiczność teatralna, przeobrażają się upodobania. Pozostają nietknięte tylko genjalne arcydzieła Sztuki, te, których Czas nie jest w stanie naruszyć. Lecz wszystkie teatry nie są w możności karmić swej publiczności wyłącznie genjalnemi arcydziełami. W teatrach musi objawiać się i wyrażać życie bieżące, jego dramaty i jego humor.

W jakiej mierze „Uśmiech Hrabiny" spełnia swe zadanie? Oto sedno kwestji. Wyznaję, że sprawdzianem będzie dla mnie tylko stopień powodzenia. W tym wypadku, jeśli ów sukces nie zawiedzie, moja zasługa będzie mniejsza, niż zwykle. Znaczna jej część musi przypaść znakomitym artystom, którzy biorą udział w widowisku. Niezrównana Dulęba, urocza czwórka młodych pań: Gorczyńska, Lubieńska, Loda Halama i Nakoneczna... A panowie! Fertner, dobroduszny, kochany, gołębiego serca „kanonik", kipiący werwą i dowcipem Kurnakowicz, Stanisławski, Grabowski, Wesołowski, Janusz, Roland... Dekoracje Karola Frycza, tchnące swojskością i wiosną, wprost prześliczne... Taniec Halamy, oszałamiający wdziękiem i lekkością i wreszcie reżyserja dyr. Chaberskiego, kierująca tym bałaganem, nie słabnącym na minutę w niesłychanem tempie, ruchu, zgiełku, radości życia; — współdziałają w najwyższej mierze z autorem w stworzeniu widowiska nawskroś nowoczesnego, choć mającego tylko skromny cel: — ...dania publiczności paru godzin wesołej, beztroskiej zabawy.

Stefan Krzywoszewski.



Scena zespołowa z „Uśmiechu Hrabiny".

Zdjęcia J. Malarskiego — Warszawa.

NIE WYTRZYMAŁO SERCE BOHATERA.



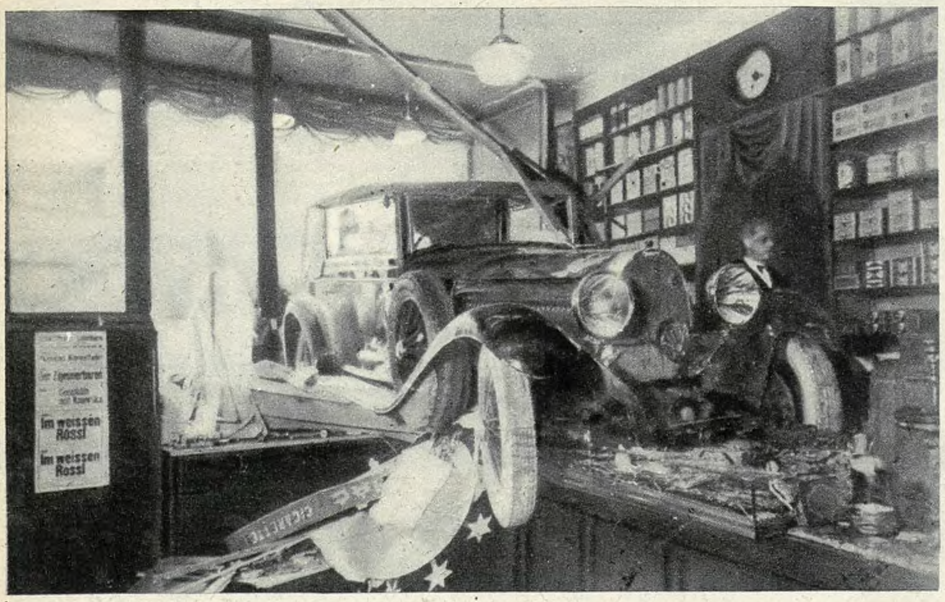
W tych dniach odprowadzono na wieczny spoczynek w Poznaniu zwłoki śp. Kajzera, weterana powstania styczniowego. Przybył on do Poznania na uroczystości w związku z 70-leciem powstania i w czasie defilady, kiedy odezwały się dźwięki muzyki i przed oczyma jego zaczęły przesuwać się oddziały wojska polskiego, nagle padł, jakby gromem rażony. Serce słabe nie wytrzymało nadmiaru radosnych wrażeń. Na zdjęciu rodzina, postępująca za trumną śp. Kajzera.

CORAZ ZIMNIEJ.



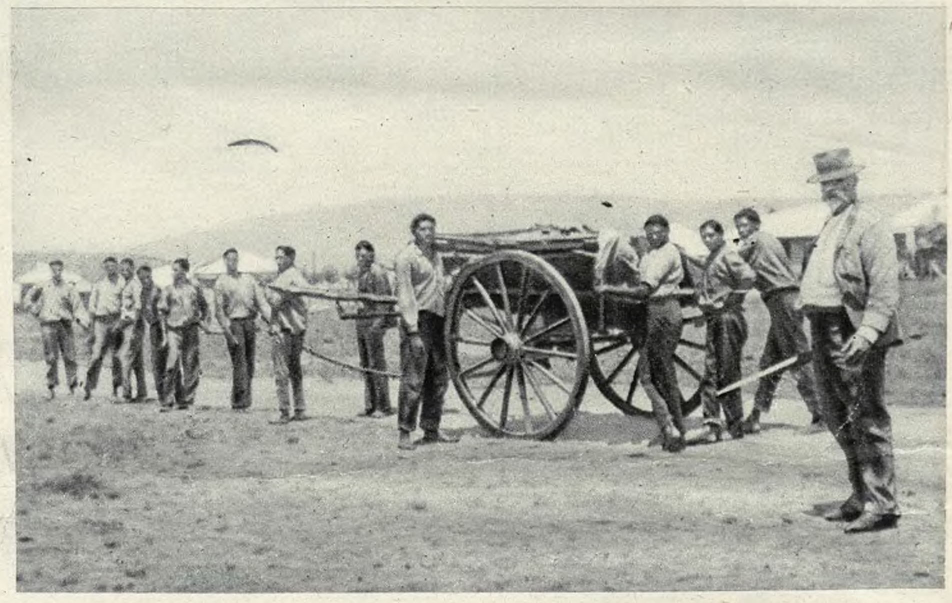
Po okresie zimowej wiosny, która trwała aż do Trzech Króli, rozpoczęło się panowanie mrozu i śniegu. Fala mrozu, dochodzącego do minus 30° C., ogarnęła całą Rosję, Polskę, Niemcy, Francję, a nawet Hiszpanję. Tylko dziwnym zbiegiem okoliczności w okolicach podbiegunowych na wyspach Niedźwiedzich zanotowano temperaturę 0 stopni. Największe opady śnieżne nawiedziły Rumunję. Na zdjęciu Madryt w śniegu.

RUCHLIWY GOŚĆ W SKLEPIE.



Niezwykłe zdarzenie miało miejsce w Solurze, mieście szwajcarskiem, w którem dokonał życia Naczelnik Kościuszko. Oto pewien młody automobilista, sprawiwszy sobie wspaniały wóz marki wyścigowej Bugatti, rozpoczął z nim pierwsze manewry, jednak tak nieszczęśliwie, że auto otrzymawszy nagle gaz, skręciło na trotuar, wybiło szybę wystawową w pewnym sklepie tytoniowym i wjechawszy na ladę, zatrzymało się. Dziwnym zbiegiem okoliczności, ani szofer, ani właściciel sklepu nie odnieśli żadnych ran. Rozgoryczone jest tylko Towarzystwo ubezpieczeń, które za tę naukę jazdy będzie musiało płacić.

NIEWOLNICY ZŁOTA.



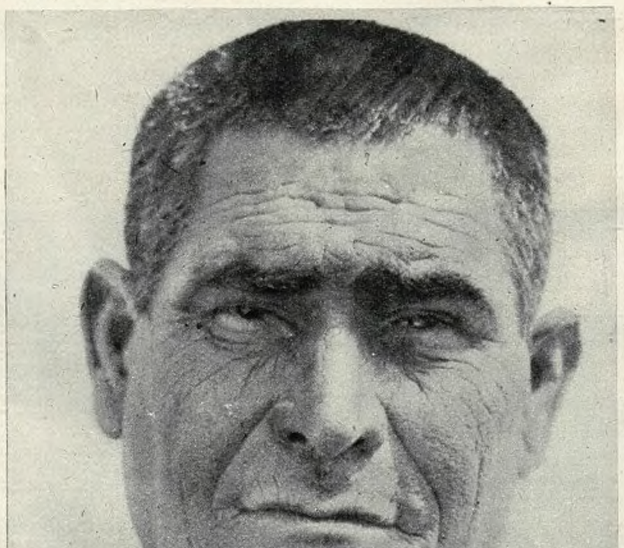
W australijskich kopalniach złota panuje reżim bardzo surowy. Do poszukiwania złota używa się przeważnie krajowców, albo więźniów, którzy skuci łańcuchami, pod dozorem straży uzbrojonych w karabiny, odrabiają swoją pańszczyznę. Za najmniejsze przewinienie grozi im kara śmierci.
Trudno zresztą inaczej postępować z tym elementem zbrodniczym, w okolicach bezludnych, gdzie można tylko polegać na brutalnej sile, mając do czynienia z ludźmi, zdecydowanemi na wszystko. Na zdjęciu więźniowie przy pracy w kopalni australijskiej złota „The Granites".

SMUTNEJ PAMIĘCI KRÓL.



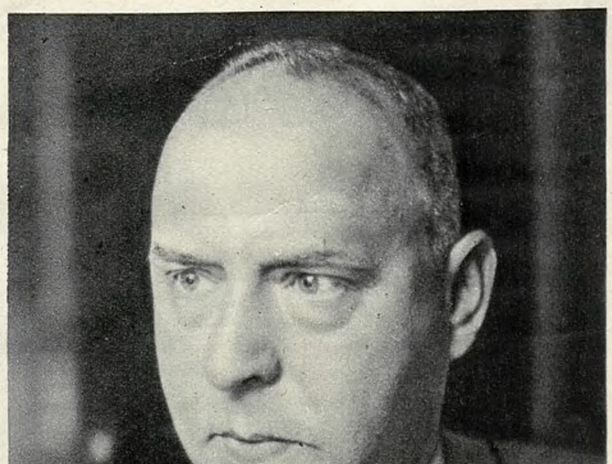
Dnia 1 lutego mija 200 lat od śmierci króla Augusta Mocnego, elektora saskiego. Panowanie jego zapisało się bardzo smutnie w Polsce i było okresem zupełnego rozpasania politycznego i lekceważenia interesów państwowych. Król ten zresztą o Polskę zupełnie się nie troszczył, pochłonięty swojemi miłostkami, natomiast całą swoją uwagę poświęcał ojczyźnie saskiej, gdzie wzniósł wiele monumentalnych gmachów i starał się być mecenasem sztuki. August II. słynął z wielkiej siły i dlatego dano mu przydomek Mocny. Łamał bowiem w rękach podkowy. Z jego to czasów pochodzi przysłowie: „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa". Na zdjęciu August II, wedle portretu Louis Silvestra.

RYBAK KROCIOWYM PANEM.



Hiszpanie lubią grać na loterji. Nie był wolny od tej namiętności i ubogi rybak Antonio Lazcano, mieszkaniec z miasta Malagi. Szczęście nie sprzyjało mu, ale Lazcano zawziął się i nie tracił nadziei. Jakoż rzeczywiście w tych dniach doniesiono mu, że na jego numer padła wygrana w kwocie 250.000 pesetów. No i teraz szczęśliwego rybaka prześladują reporterzy, pytając, co zamierza robić, gdzie ulokować pieniądze, komu zapisać spadek, itd. Zirytowało to już wszystko Lazcana i dlatego jak to widać na zdjęciu, zrobił minę niewróżącą nic dobrego. Jeszcze jedno niewczesne pytanie, a gotów bić.

NIE ZDRADZIŁ.



W Niemczech sytuacja polityczna jest w dalszym ciągu niepewna. Rząd bowiem Schleichera, opierający się na autorytecie prezydenta Hindenburga niema w parlamencie większości. Wieczny zaś kandydat do władzy Hitler nie może dojść do porozumienia z innemi stronnictwami, w celu stworzenia koalicji zdolnej do objęcia rządów. Na razie więc obie strony prowadzą walkę podjazdową, usiłując wzajemnie osłabić się i odwlekają decydującą rozgrywkę. Jakiś czas wydawało się, że w partji Hitlera nastąpi wielki rozłam, któremu patronować będzie aptekarz Strasser (na zdjęciu), wybitny polityk tego obozu. Był on na audiencji u Hindenburga, gdzie podobno obiecywano mu wicekanclerstwo, gdy opuści Hitlera, Strasser jakiś czas wahał się, ale nie poszedł na te plany, pozostając wierny swojemu wodzowi.



Ludność Filipin demonstrująca za niepodległością.



Igoryta z gór Banio na Filipinach.



Nasz korespondent z Filipin, p. W. Sielski.



Wulkan Mayon na Filipinach.

I NA FILIPINACH ŹLE.

Kryzys gospodarczy dotknął także i Filipiny, jako jedną z kolonij amerykańskich. Ceny na produkty miejscowego pochodzenia spadły prawie do połowy. Na ryż niema odbiorców zupełnie. Jeszcze do niedawna za worek cukru płacono 17 i pół pezo, a obecnie nikt nie chce brać nawet za sześć i pół.

Rynek tutejszy zalany jest tanim towèrm japońskiego pochodzenia.

W związku z ogólną depresją i zarobki obniżono do minimum. I tak ukończony farmaceuta pobiera miesięcznie 30 pezo, czyli 15 dolarów, adwokaci służą w biurze za 40 pezo miesięcznie, zaś za sprawę sądową biorą przeważnie pół dolara, np. za zastępstwo w sądzie.

Można się przynajmniej procesować!

Kupcy zamykają składy, wyzbywają się towaru a mimo to pieniędzy zdobyć nie mogą, bo złoto gdzieś podziało się i znikło jak kamfora. Może siedzi w schowkach, może wyemigrowało, dość, że go niema.

Z naszej szczupłej kolonji polskiej wielu straciwszy cały majątek, wyjechało do Stanów Zjednoczonych, ja jeszcze trzymam się, ale co będzie jutro, nie wiem.

Ludność tutejsza domaga się niepodległości, którą Stany Zjednoczone obiecują jej za 10 lat. Jest ogólne jednak przekonanie, że Filipiny uzyskają niepodległość wcześniej, już za rządów nowowybranego prezydenta Roosevelta. A wtedy trzeba będzie stąd uciekać, bo już dziś Filipińczycy krzywo patrzą się na białych i szkoły dla przyszłych dyplomatów otwieraja. Biali śmieją się z tych szkół, nie bardzo wierząc w zdolności dyplomatyczne wyspiarzy. Ano zobaczymy, co z tego wyniknie?

Na zakończenie przesyłam redakcji „Światowida" i Rodakom w dalekiej Polsce słowa szacunku i uznania. Dzień, w którym poczta przynosi nam „Światowida" jest dla nas wielkiem świętem. — Schodzą się wtedy do mnie wszyscy Polacy i z rozrzewnieniem przeglądają to nasze kochane pismo.

Władysław Sielski,
Wyspy Filipińskie, Manila.

BIAŁY GALOP.

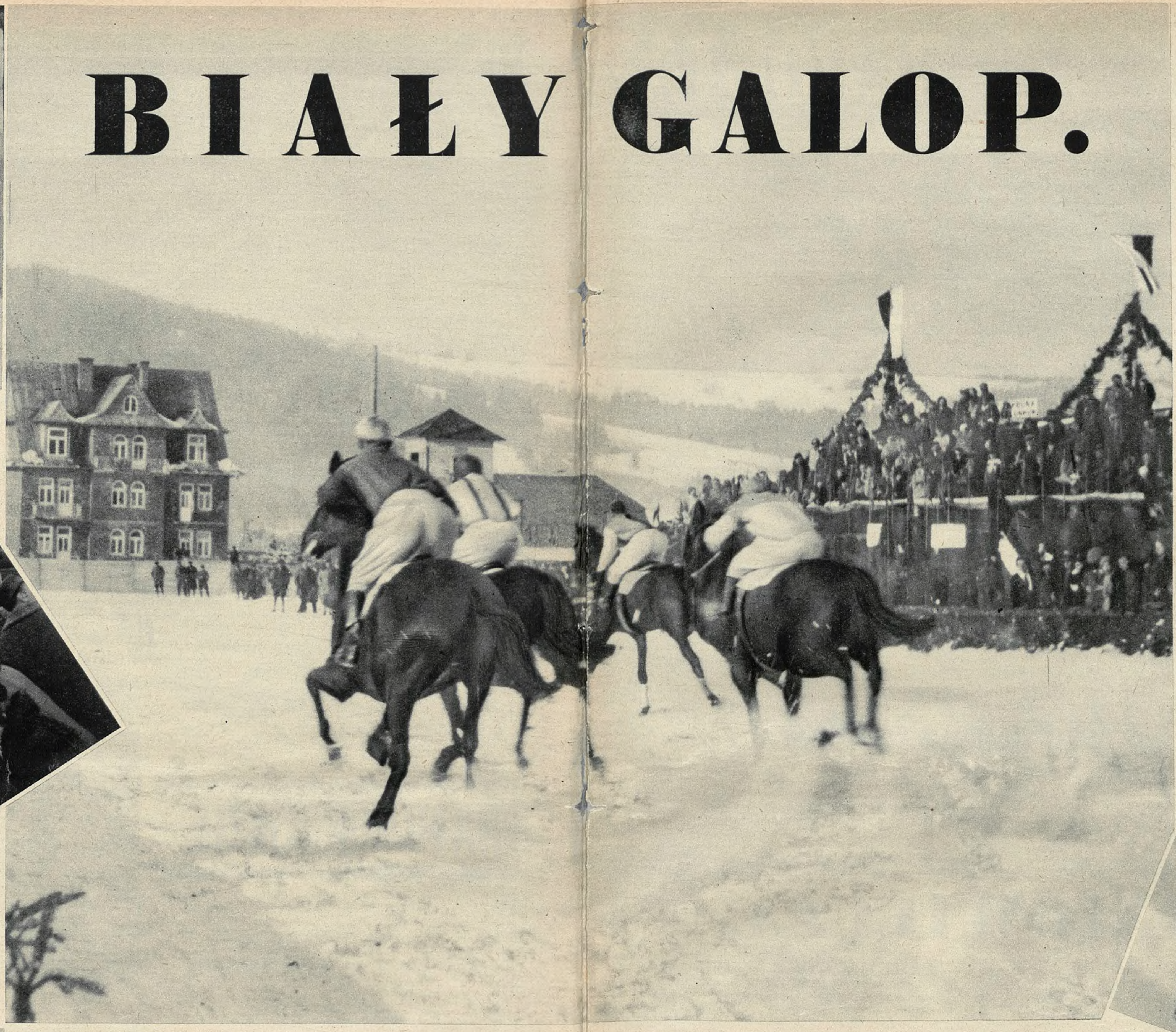


Grupa hodowców koni wyścigowych obok klaczy ze stajni p. Pomernackiego. Stoją p. Żurowski, Pomernacki i p. Zangen, wiceprezes Małopolskiego Klubu Jazdy.

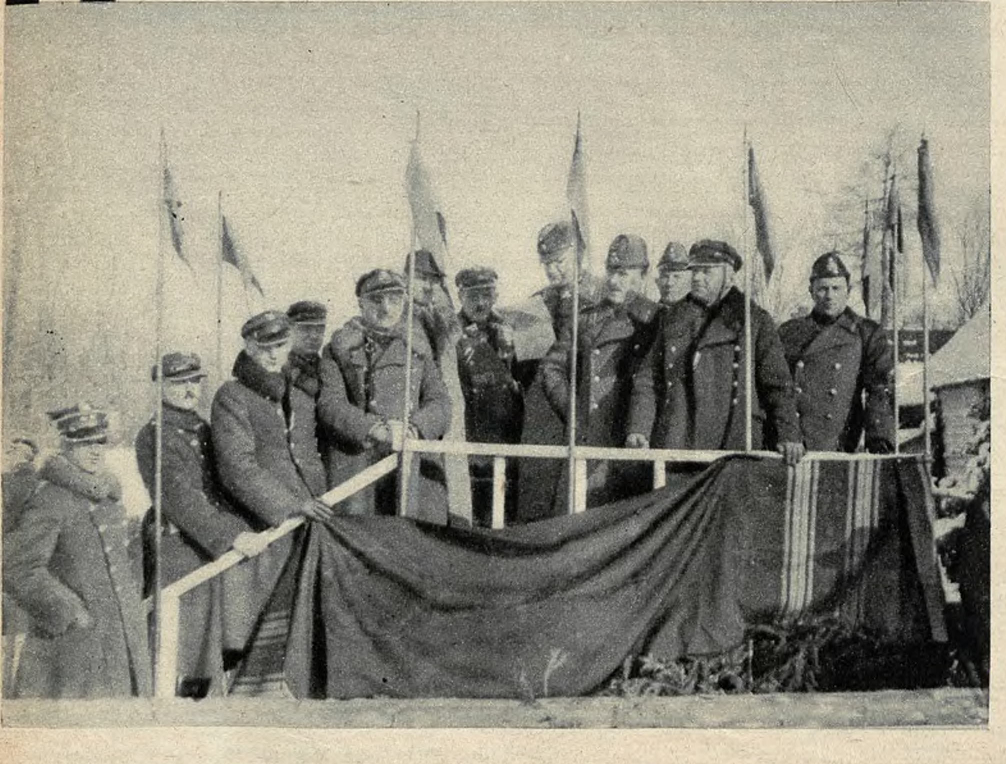


Tłumy publiczności cisną się do kas totalizatora.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".



Od dwóch tygodni odbywają się w Zakopanem na wielkim stadjonie wyścigi konne (na zdjęciu) na torze śniegowym i cieszą się pełnem powodzeniem.



Dnia 29 ub. m. wyścigi konne obserwowali goście z Estonji. W pośrodku komendant główny Kaitseliitu gen. Roska w otoczeniu komendanta głównego Strzelca płk. Rusina, w głębi zaś kom. na Kraków mjr. Naimski oraz szereg przedstawicieli Kaitseliitu i Strzelca.

Od listopada panuje w Zakopanem przepiękna pogoda. Słońce świeci aż miło, a na jasnym błękicie niebios rysuje się Giewont i fantastyczny szlak Orlej Perci. Na tle tej wspaniałej panoramy, wzniesiono tego roku nowy stadjon zimowy, w którym odbywały się konkursy hippiczne, obecnie zaś wyścigi konne na śniegu.

Trzeba było kilkoletniej pracy przygotowawczej, aby imprezę tą, przynoszącą zaszczyt Zakopanemu i usuwającą w cień przereklamowane wyścigi konne w St. Moritz, doprowadzić do skutku. Dziś pierwsze lody zostały przełamane i na stadjonie zakopiańskim rozbrzmiewa nowe życie.

Najwybitniejsze stajnie wyścigowe, najlepsi jeźdźcy i wytworna publiczność, a przedewszystkiem zwolennicy „totka", dali tu sobie rendez vous. Najbardziej z radości zacierają ręce Warszawiacy. Dla nich bowiem totek jest poprostu powietrzem, którem oddychają. Zamiłowanie do tatolizatora w stolicy naszej jest tak wielkie, że od wiosny do jesieni, ludzie o niczem innem nie mówią, jak tylko o „typach" i kombinacjach. Lada stróż, czy jak się obecnie mówi dozorca, zna się tam świetnie na koniach i potrafi wyliczyć, gdzie i kiedy jego faworyt zajął jakie miejsce, ocenić wlot wartość dżokeja, jego szanse, w związku z deszczem, pogodą i t. d. Kiedy zaś przyjdzie dzień Derby, całe kamienice od suteren po poddasza składają się na stawkę i powierzają ją, jakiemuś znawcy z ekstraklasy, który udaje się na tor wyścigowy i w imieniu całej gromady gra.

A grać, to jest wielka sztuka, „totek" bowiem to mnóstwo kombinacyj, na których trzeba się rozumieć. Stawianie na faworyta przynosi często tylko nagrodę moralną, natomiast kto się chce obłowić i dostać np. za 10, 150 albo i więcej, ten musi grać na „fuchsa", t. j. konia, o którym przypuszcza się, że tylko jakimś cudem może pierwszy minąć celownik. Wtedy wygrane są przeważnie wielkie.

Musiałem trochę rozpisać się o tem abecadle „totka", bo w Małopolsce, a specjalnie w Krakowie, od czasu zwinięcia toru wyścigowego na Małych Błoniach, ludzie zapomnieli grać w „totka" i teraz dopiero na torze zakopiańskim gorliwie się uczą.

Trzeba obserwować miny, z jakimi publiczka śledzi każdy bieg. Zdenerwowanie rysuje się na każdej twarzy (która postawiła). Jakaś złotowłosa panienka, naturalnie ubrana po narciarsku, usiadła na barjerze, ściskając w ręku karteczkę z czwórką. Za chwilę rozpocznie się start. Panienka jest jednak na tyle przytomna, że dla wszelkeij pewności ostrożnie odsuwa się od barjery, mówiąc do swojego partnera ze słodkim uśmiechem:

— Muszę usunąć swoje nóżki, bo jeszczeby mnie koń kopnął, a je chcę tańczyć jeszcze dziś, jutro, pojutrze, no i wogóle zawsze.

W tej chwili konie ruszają z kopyta W powietrze wzbiły się tumany śniegu. Prowadzi „dwójka", wobec czego panienka ma minę zrozpoczoną. Ale niedaleko mety wysuwa się „czwórka" o pół długości. Panienka zakrywa oczy, wzruszenie jej jest zbyt silne, aby mogła patrzeć na to denerwujące widowisko, które gotowe ją pozbawić raz na zawsze 10 złotych.

Teraz dopiero rozumie, dlaczego przyjaciele zarzucili na głowę Winicjusza togę, w chwili, gdy Urzus szamotał się na arenie z rozjuszonym bykiem, a od walki tej zależało życie Lidji. W takich wypadkach bowiem najlepiej jest nie patrzyć, tylko po ciemku czekać, na to komu kurka jajko zniesie. W tym konkretnym wypadku zniosła właśnie jasnowłosej panience. Zwyciężyła o łeb „czwórka", a totalizator płacił 11 za 10, czyli akuratnie tyle, aby za wygraną można było napić sie kieliszek krupniku.

Były jednak i momenty bardziej gorące, a mianowicie, gdy „szóstka" przed pewnym biegiem, nic sobie nie robiąc z dżokeja, przegalopowała dwukrotnie dookoła toru i po takim dopiero treningu stanęła do wyścigu. Oczywiście przyszła ostatnia, choć uchodziła za murowaną. Gracze, którzy na nią stawiali, zaprotestowali głośno przeciwko takiemu handicapowi, ale nic im nie pomogło. Przegrali. No i teraz przez cały rok będą lizali łapy. Jak mnie bowiem objaśniono, słowo totalizator pochodzi od łacińskiego totus, t. zn. cały i polskiego lizać.

Ja na szczęście rąk swoich nie lizałem, grałem bowiem, ale tylko w myśli, oszczędzając na tem pełnych 40 złotych.

J. L.



Stałym gościem na trybunach jest ulubieniec Zakopanego, znakomity literat, p. Kornel Makuszyński.



Poseł Marjan Dąbrowski (pierwszy od lewej) w rozmowie z hodowcami koni pp.: Rogowskim i Tuńskim.



Po zwycięskim biegu. Koń „Djonizos", który zdobył nagrodę M. T. Z. — Obok jeździec i właśc. konia por. Kociejowski.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



PARJASI NA PROGU NOWEGO ŻYCIA. Hindusi dzielą się na najrozmaitsze sekty, posiadające mniejsze lub większe przywileje, względnie zepchnięte poza nawias społeczności ludzkiej. Najbardziej pożałowania godne było położenie parjasów, czyli wydziedziczonych. Członkom wyższych sekt nie wolno było się z nimi stykać, jako z nieczystymi. Nie mieli oni także wstępu do świątyń. Obecnie Gandhi, prowadząc dzieło wyswobodzenia Indyj, postanowił ująć się za parjasami i w tym celu urządził głodówkę, która trwała tak długo, aż Bramini zgodzili się traktować parjasów jako równych sobie i dopuścić ich do świątyń. Formalnie ten postulat Gandhi'ego został przez Hindusów przyjęty, dużo jednak wody upłynie w Gangesie, zanim znikną dawne uprzedzenia w stosunku do parjasów. Na zdjęciu uroczyste wprowadzenie parjasów do świątyni Gururvayur w Malabar. *The New York Times.*



ATTACHE NIEMIECKI W POLSCE. Niemcy, uzyskawszy na konferencji w Genewie zgodę wielkich mocarstw, tj. Francji, Anglji i Włoch na t. zw. „dozbrojenie", czyli posiadanie tych gatunków broni, które dotychczas przez postanowienia traktatu wersalskiego były im zabronione, aby dać widomy znak, że odtąd wchodzą już jako czynnik równouprawniony w dziedzinie militarnej z państwami europejskiemi, postanowili mianować swoich attache's wojskowych w państwach, z któremi utrzymują stosunki dyplomatyczne, co dotychczas nie miało miejsca. Na posterunek warszawski przeznaczony został komendant 19-go pułku piechoty bawarskiej płk. Schindler (na zdjęciu). *Atlantic-Photo.*



KATASTROFA OKRĘTOWA. Największą przeszkodą zarówno w komunikacji lotniczej, jak i morskiej jest mgła, która utrudnia zupełnie orjentowanie się i spowodowała już niejedną katastrofę. Mgły szczególnie dają się we znaki w Anglji i w kanale La Manche, a miasto Londyn zyskało sobie sławę najbardziej zamglonego miasta na świecie. Bywają dnie, że panująca mgła uniemożliwia poprostu ruch uliczny, gdyż najsilniejsze nawet sygnały świetlne są dostrzegalne zaledwie na kilka kroków. Osobliwe niebezpieczeństwo stwarza mgła dla statków, odbywających rajdy przybrzeżne, narażając je w każdej chwili na rozbicie o skały. Taki wypadek właśnie zdarzył się w tych dniach w pobliżu Aberdeen w Szkocji, gdzie statek „Ben Screel" (na zdjęciu) wjechał na skałę i zatonął. Załoga, złożona z 8-miu ludzi zdołała się uratować. *Wide World Photos — Paris.*

JAZZ ŚREDNIOWIECZA.

Każda epoka ma swój rytm, swoją melodję i swój taniec. Miało je i średniowiecze.

Z pośród wielu, na długiej przestrzeni tych ciekawych wieków, panujących rytmów, obrzędowością swoją, tajemniczą genezą i długowiecznem panowaniem w formie masowego szału, na plan pierwszy wysuwa się po dziś dzień w krajach łacińskich południowej Europy tańczona tarantella.

Znamy ją z desek scenicznych, znajdujemy także wyraz w kompozycjach mistrzów (Chopin, Wieniawski i i.).

Skąd się wzięła? Skąd jej królestwo despotyczne, nakazujące taniec oszalałym masom w ciągu czterech blisko stuleci?

Taneczna zaraza, taneczne obłąkanie, tajemniczy szał, przed któremi dziś, jak niegdyś, stajemy bezradni, nie mogąc wytłumaczyć tła, na których powstały i przyczyn ich panowania. Gdzieś to wszystko mieści się w zakamarkach zbiorowej duszy i od czasu do czasu wybucha, szerząc się jak pożar w łatwo zapalnym ośrodku.

Wojny, krwawe rewolty, pogromy, masowe rzezie, pochody pokutne, obłąkane tańce...

Wiele o tem pisano i mówiono, wiele zebrano materjału, ale wszystko to, co powiedziano o masowych ruchach zbiorowiska ludzkiego, o ponurych przejawach gromadnego życia ludzkości, nie wyczerpuje sprawy i nie daje należytego obrazu.

Ale wróćmy do tarantelli.

Zrodziło ją średniowiecze. Może i nie ono, może (jak chcą niektórzy), urodziła się w starożytności, wyśpiewana na fletni pastuszej pod słonecznem niebem Tarentu nad Mare piccolo — może...

Ale nie wchodząc w jej genezę, podkreślimy z naciskiem, że dla średniowiecza stała się rytmem dominującym, smagającym i pędzącym ludzi do szału.

Ciemne średniowiecze. Nie tyle powszechną ciemnotą, o której tyle się słyszeć zwykło, ile raczej ciemne swą tajemniczością.

Średniowiecze, przebogate w niesamowite zjawiska duchowego życia ludów, zrodziło i wymyśliło swoistą chorobę, zwaną tarantuismus, a szerzącą się jak dżuma.

Klęski chorób zakaźnych (dżuma, cholera, ospa, tyfus, przymiot), niszczące życie rodzinne i społeczne, uważane za karę Bożą za grzechy ludzkości, wojny, powodzie i trzęsienia ziemi, złamały ducha ludzkiego, doprowadzając go do dziecinnej, naiwnej, zabobonnej wiary w gusła, zaklęcia, uroki i czary. Doprowadziły go do korzenia się i pokuty, do nastroju ponurej melancholji i do fantastycznych, nieraz obłąkańczych wyskoków, uzewnętrzniających się w nieprawdopodobnych odruchach zbiorowych.

Powszechny lęk i trwoga pętały każdą śmielszą myśl i trzymały dusze ludzkie w chorobliwem napięciu.

Dodajmy jeszcze znamienny dla owych czasów pęd do naśladownictwa, grający zawsze niepoślednią rolę w zbiorowem życiu ludzkiem (np. moda), a na tem tle uwydatnią się nam jaśniej i biczownicy i stosy dla czarownic, zarazy taneczne i inne tak potwornie tragiczne w swym wyrazie zjawiska.

Dominantą ówczesnej trwogi, górującą ponad wszystkiem, była największa ze znanych nam tajemnic — śmierć.

Przychodziła cicho, niespodzianie, niesygnalizowana niczem, spadała na bogate miasta i kwitnące wsie, zabierała życie tysiącom.

Dżuma, morowe powietrze. Nie było na nią środka, nie było sposobu leczenia.

Chodziły słuchy o zatrutych studniach, źródłach i rzekach, o ptakach, owadach, płazach, o deszczach i wiatrach, przynoszących chorobę.

Nic dziwnego, że każde stworzenie, wiodące mniej lub więcej nieznany szerszemu ogółowi żywot, napawało ludzi trwogą.

Znamy dziś trwogę przed nietoperzem, znamy przesądy dotyczące zwierząt, zakorzenione wśród ludu.

Wycie psa, chichot puszczyka, zwiastują niechybną śmierć, a jękliwy, porywisty wiatr, płaczący w bezlistnych gałęziach drzew ciętych szarugą, to skarga potępionej duszy samobójcy.

Ileż to dziś przesądów pokutuje już nie wśród ludu, ale wśród „sfer oświeconych"?

A jeśli głos i widok zwierzęcia napawały ludzi strachem, cóż mówić o ukąszeniu?

Wąż zabijał jadem, pies zarażał wścieklizną...

Było jeszcze więcej stworzeń, wedle wierzeń ówczesnych, nader niebezpiecznych. Do takich należały: ropuchy, jaszczurki, nietoperze, padalce i w. i.

Najbardziej osławionemi były we Włoszech i Hiszpanji jadowite pająki rodzaju tarantula.

Ukąszenie takiego pająka, podobne w swych skutkach do ukąszenia pszczoły, czy osy, miało powodować, wedle ówczesnych wierzeń, specjalną chorobę, zwaną tarantuismus apuliens.

Skutki ukąszeń tych pająków, bardzo powszechnych w południowej Europie, znane już były starożytnym. Poświęcono im wiele uwagi, żaden jednak ze starożytnych pisarzy nie wspomina nigdzie, ani słowem, o jakichś epidemicznych chorobach, powodowanych złośliwością pająków. Nieznanemi były także te choroby ludom bałkańskim, znającym ukąszenia tarantul. A już nigdzie nie znajdujemy w starożytności zapisków o tak skomplikowanych objawach i nawrotach chorób, powodowanych rzekomo ukąszeniami tarantul, o jakich mówiono i pisano od XIII w. po początki XIX w.

Ta urojona choroba opanowała w XIII w. całe Włochy.

Ukąszenie jadowitego pająka, a raczej lęk przed skutkami, powodowały gwałtowną chorobę psychiczną, rozszerzającą się przez sugestję na szerokie masy. Przewrażliwiona fantazja malowała skutki takiego ukąszenia barwami śmierci.

Wierzono w pewną śmierć; a szukając ratunku, znachodzono go w muzyce.

Pod wpływem tonów fletu, czy cytry, chorzy dźwigali powieki, ożywiały się mętne oczy. Powstawali z posłania i poczynali tan w takt monotonnej melodji, granej w coraz szybszem tempie — coraz zapamiętalej, coraz szybciej, aż do omdlenia.

Nawet surowi, prości ludzie, anachoreci, nieuznający muzyki i tańca, na dźwięki tarantelli i łoskot tamburina, zrywali się i popadali w taneczny szał.

W takt przedziwnej melodji tańczyli chorzy bez wytchnienia, a kiedy umęczeni muzykanci umilkli, popadali tancznicy w odrętwienie i letargiczny, chorobliwy sen.

Muzyka i taniec miały niszczyć zabójcze własności pajęczego jadu. Z potem tancznika uciekała z organizmu jadowita śmierć. Ale nie na zawsze. Pewne części jadu miały zostawać i powodowały po roku nawrót do choroby.

To też rok rocznie (zwłaszcza na przedwiośniu) rozbrzmiewały po wsiach i miastach instrumenty wędrownych muzykantów a duchowo chory tłum szalał. Tańczyli wszyscy, starcy i dzieci, chromi, głusi i ślepi — wszystko, co żyło. Ukąszony, czy nie — wszyscy, opanowani lękiem przed śmiercią, szukali ratunku w obłąkanym tańcu.

Tkwił w owych ludziach jad, ale nie pajęczy, jad duchowy, przenoszący się z osobnika na osobnika — dziwna, niesamowita trucizna. I ta duchowa zaraza, rozpętująca wszystkie namiętności ludzkie, wyszedłszy z Apulji, objęła wszystkie kraje łacińskie.

Poza skłonnością do tańca i muzyki, występowało lubowanie się w błyszczących przedmiotach i niektórych barwach. Były też barwy, budzące odrazę, zwłaszcza kolor czarny doprowadzał tarantuistów do szału. Byli i tacy, których pociągała woda, rzucali się masowo do rzek, jezior, a nawet studzien.

Taneczne leczenie tarantuizmu przechodziło w masowe, rozpasane, dzikie, zwyrodniałe, lubieżne orgje, na których prym wiodły oszalałe tanem kobiety. Nazywano też te rok rocznie powtarzające się lecznicze tańce — il carnevaletto delle donne.

Rozwiązłość w czasie takich tańców przerastała szatańskie opętanie.

W czasie tanów śpiewano też pieśni, niesamowite dytyramby, dzikie, wyuzdane strofy, chociaż nie brak było też tęsknych erotyków i strof idyllicznych.

Do dnia dzisiejszego dochowało się wiele tych rzekomo leczniczych melodyj. Wiele z nich przechował potomności słynny z walk z przesądami światły Jezuita Atanazy Kircher w dziele wydanem w Rzymie (1654)) „Magnes sive de arte magnetica". Jedno z nich nosi nazwę „antidotum tarantulae".

Blisko czterysta lat panowała ta psychiczna choroba. Dopiero wiek XVI położył kres masowemu obłędowi. Coś mrocznego niosą z sobą monotonne melodje i głuchy łoskot bębna, coś z kanibalskich obrzędów, czy sabatu czarownic.

Zmierzch — migotliwy połysk księżyca, bezszelestny lot nietoperza, cichy, pajęczy chód... Jakieś szaleństwo — lęk przed śmiercią — niepewność jutra...

Niegdyś piskliwy flet, jęcząca cytra i łaskotliwe tamburino... Dziś saksofon, hawajskie gitary i bęben z grzechotkami...

Czyżby nawrót?

Może i tak...

Tarantellt i jazz-band są symbolami epok. **J. B.**



ZŁOTY MEDAL DLA POGROMCY ZWIERZĄT. Jednym z najwybitniejszych pogromców dzikich zwierząt jest kpt. Schneider, który sztukę tresowania lwów, tygrysów i innych drapieżników wprowadził na zupełnie inne tory. Zarzucił bowiem bat, rozpalone żelazo itp akcesorja, nieodłączne dla poskramiacza dawnych czasów, a stara się zjednywać zwierzęta jedynie łagodnością i cierpliwością. Rezultaty, do jakich w swojej metodzie doszedł, są rzeczywiście zdumiewające. Międzynarodowe towarzystwo dla ochrony zwierząt postanowiło z tego względu uczcić kpt. Schneidera najwyższem odznaczeniem, t. j. medalem złotym, który wręczono mu w Rzymie. *The New York Times.*

A muzyczka: „tirli, tirli".



„Dożywianie" maseczki kuflem piwa na zabawie w Monachjum.

Z pośród wszystkich niemieckich miast najwięcej kolorytu lokalnego posiada Monachjum, stolica Bawarji i niedawno zdetronizowanych Wittelsbachów, którzy starali się tę rezydencję zamienić na miasto sztuki. Usiłowania ich zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem, ponieważ był czas — od 1860 do 1890 r., gdy Monachjum stanowiło Mekkę dla wszystkich osób, interesujących się sztuką, a w tamtejszej akademji kształcili się malarze z całej Europy. Z pośród polskich malarzy Brandt, Kowalski, Wodzinowski, Czachórski, Chełmoński i wielu innych pierwszorzędnych portrecistów i batalistów wyszło z Monachjum.



Bawarska kapela ludowa, przygrywająca do tańca.
Zdjęcia Z. Klugera & Co — Berlin.

Nazwano Monachjum miastem przytulnem. I słusznie, cudzoziemiec bowiem czuje się tutaj doskonale, wśród ludzi uczynnych, poczciwych, dalekich od faryzowych lotów, szanujących wprawdzie bardzo sztukę, ale przedewszystkiem przepadających za dobrem piwem, gorącemi parówkami i kawą. Przedewszystkiem jednak piwem. Monachijskie piwo ma sławę światową. Jest w przeciwieństwie do Pilznera trochę ciężkie, ale trunek to zaprawdę boski. Prawdziwy Monachijczyk pije je na pierwsze śniadanie, na drugie śniadanie, na obiad, podwieczorek i kolację, wysączając przy każdej okazji do dna kilka kufelków. Trzeba widzieć takiego opasłego pana Müllera, czy Hentschla, jak usiadłszy sobie w gronie kompanów w B i e r s t u b e, „spuszcza" kufel po kuflu, znacząc tylko na papierku kreski. Czasem jest ich pięć, czasem dziesięć.

Monachijczycy są z natury spokojni i nie lubią awantur, ale zamieniają się w lwy, gdy ktoś pragnie dobrać się do ich piwa i np. obłożyć je nowym podatkiem. Wtedy gotowi nawet zrobić rewolucję.

W karnawale piwa tego odchodzi jeszcze więcej. Monachjum bowiem słynie z dobrych i tanich zabaw. Ot poprostu w każdym lokalu zbiera się publiczka, muzyka chłopska rżnie, a pary kręcą się. Czasami ktoś zaśpiewa, a nuty te podchwytuje cała sala. Aby było wesoło, goście ubierają na twarz najrozmaitsze maski, przeważnie zwierzęce, a więc psa, kota, konia, lub prosiaka.

Tańczą więc pary, a spiżowa Bawarja z wyżyn swojego piedestału spogląda wyrozumiale na Monachijczyków i ich nadobne córy, zawsze spragnione miłości, które jeszcze na długo przed wojną pozbyły się tych przesądów, które dzisiaj przełamała dopiero zbiorowa ofensywa dancingów, campingów i plaży. Wielu z Polaków, którzy przed wojną studjowali na uniwersytecie w Monachjum, pozostawili tam także i swoje serca, jako że byli żywiołem, chętnie przez tamtejsze dziewczęta widzianym.

Kto chce jednak zobaczyć, jak wygląda prawdziwie bawarska zabawa ludowa, ten musi jechać na południe od Monachjum. Tam folklor bawarski zachował się jeszcze w całej swej okazałości, tam jeszcze spotyka się postacie brodate, jakby żywcem wycięte ze starych oleodruków i tam jeszcze muzyka nie gra ani tanga, ani rumby, tylko stare sztajery i inne ludowe melodje. **Kum.**



Małe, ale dobrane towarzystwo: bocian, prosię, wół i policjant.

CHLEB CZERWONEGO RAJU.

(Oryginalna korespondencja z Moskwy).

„Chleba naszego powszedniego...“ powtarzamy bodaj dwa razy na dzień, ani myśląc o tem, że ten „chleb powszedni“ posiada właściwie znaczenie w dużej mierze symboliczne. O zrozumienie i wytłomaczenie tego twierdzenia poproszę czytelniczki-gospodynie, które przy codziennych dyspozycjach mogą łatwo obliczyć, że ten chleb w ścisłem znaczeniu stanowi zaledwie 1/4-tą lub 1/5-tą ogólnej wagi konsumowanych produktów.

Nie myślę przez to modyfikować tego pobożnego życzenia, uzupełniając go całym asortymentem — stanowiących urok życia — artykałów gastronomicznych. Trudno jakoś byłoby prosić o „powszechnego łososia w majonezie“ — trudno i bezsensownie. Czyż nie łatwiej i mądrzej prosić o chleb a dostawać frykasy? Ale żart — żartem: dziś coraz większym żartem, choć z drugiej strony ten chleb powszedni nie wepchał się jeszcze na czołową pozycję w naszem życiu.



Inaczej jest — proszę wierzyć — w Sowietach. Tam urzędowa racja żywnościowa, dostarczana konsumentowi — przez kooperatywę, wynosi *miesięcznie* nie wiele więcej, a może i tyle samo, co u nas przeznacza się na dzienne spożycie w jednem 4-osobowem gospodarstwie. Chcącemu skontrolować to odważne zestawienie podaję szczegółowe jej pozycje: 800 gr. mięsa, 250 gr. tłuszczu, 40 gr. cukru, 1000 gr. kartofli, 1000 gr. kasz, 1000 gr. makaronu i 12 gr. herbaty — razem 4.462 gramów czyli króciej 4 i ½ kilograma“. Koszyczek naszej służącej nie byłby pełny, a ona sama mocno niezadowolona z „koszykowego“.

Ktoś kto zna sowieckie stosunki (piszący musi liczyć się zawsze z tą niepożądaną odmianą czytelnika) może mi zarzucić, że wyszczególniona tu norma żywnościowa odnosi się do t. zw. „kategorji II-giej“ spożywców (i obywateli), do której należą w „państwie idealnej równości“ — robotnicy niekwalifikowani i... pracownicy biurowi, ci ostatni zapewne w dowód „uznania“ jakie żywią Sowiety dla umysłowego wysiłku. Natomiast do „kategorji 1-szej“ spożywców zaliczają się tam w zasadzie tylko robotnicy kwalifikowani, powszechnie jednak wiadomem jest, że z przywilejów tej kategorji, a może jeszcze jakiej i wyższej — dla której niestety brakuje znaku wśród rzymskich cyfr — korzystają przedewszystkiem pracownicy G. P. U., wojskowi, osoby hieratycznie eksponowane i wreszcie cudzoziemcy. Z żadnych przydziałów natomiast nie korzystają „czastnicy“, t. j. indywidualnie zarobkujący i „liszeńcy“, czyli niedobitki klas ongiś posiadających i ich potomkowie, jako że, godność ta bywa do drugiego pokolenia dziedziczna, a do jej prerogatyw należy też brak uprawnień do otrzymania jakiegokolwiek zajęcia. Ludziom tym zostawia się więc swobodny wybór między samobójstwem a śmiercią głodową, w myśl obowiązującej tu zasady, że „kto nie pracuje, nie je“. — Jak z tego widzimy, podział na klasy społeczne — który mieści się w Sowietach całkiem wygodnie obok cherlakowatej „idei równości“ — wygląda nieco inaczej niż u nas, ale jest prostszy i... radykalniejszy.

Wracając jednak do przewidzianego zarzutu — i broniąc się przed posądzeniem o tendencję — muszę wyjaśnić, że podana przezemnie norma 4 i pół kilogramów odnosi się istotnie do II-giej kategorji, ale zato w okresie „lepszej konjunktury“ jaka panowała wczesną wiosną ub. r. Latem zaś norma ta zniżyła się już do półtora kilograma — a choć tego, jak wygląda ona w tej chwili nie mogę ściśle określić — niemniej zapewniam, że „pajok“ (norma) nie przekroczył wielkości zeszłorocznej z tegoż czasu; nigdy on zresztą nie ma ambicji „przekroczenia“.

A zatem 4 i pół kilograma miesięcznie już łącznie z mięsem, tłuszczem, kaszami i ziemniakami. Człowiek z naszego świata, któremuby to wystarczało, miałby szanse na króla „głodomorów“. 4½ kilograma miesięcznie, a zatem 15 dekagr. dziennie; mały kot potrzebuje więcej!

Widzę już jak czytelnik kontroluje moje obliczenie, czy aby nie przemycam jakiegoś arytmetycznego kawału. Zapewniam, że nie, paradoks zaś polega na tem, że nie umieściłem w mojem zestawieniu chleba — chleba, którego sowiecki konsument otrzymuje aż 400 gr. dziennie! Tym chlebem zapełnia on swój ascetyczny żołądek; ten chleb stanowi dla niego treść i cel życia materjalnego — ten chleb przerywa ciężką pustkę godzin przedłużanych głodem; ten chleb, który podaje się na śniadanie, na obiad, na kolację — do znudzenia, a jednak zawsze witany z radością — ten chleb naprawdę „powszedni“...

* * *

— „Grażdanka“ (obywatelko) nie wiecie czy dają dziś chleb czy mąkę?

— Jeszcze nic nie dają, ale stoję, bo inni stoją, to może coś będą dawać.

Pytająca, mała, zgarbiona, w wypłowiałą, męskiego kroju kapotę ubrana kobiecina, naciska głębiej na czoło czerwoną chustkę i ustawia się zrezygnowanie na końcu długiego ogonka, którego początek zawisł u zamkniętych drzwi sklepu piekarskiego.

Obywatelka Sowietów zadowolona, że zdobyła bochenek czarnego chleba.
ZDJĘCIA „UNIONBILD“ BERLIN.

Na dworze panuje zima. Mroźny wschodni wiatr, który przybiega gdzieś od dalekiej tajgi, miecie tumany drobnych igieł śnieżnych, sypiąc je w szczeliny popękanych tynków kamienic, potrząsa połamanemi blachami rynien i dachów, skrzypi szyldem sklepu, na którym wymalowany jest wielki precel i napis „bułocznaja“, uspokajają stojących w ogonie, że nie popełnili pomyłki, że ten zamknięty sklep, to właśnie tensam, gdzie przed 2-ma godzinami miano wydawać chleb czy też mąkę.

— Długo tak będziemy stać? — zaczyna dla rozrywki przybyła babina.

— Któż to wie? Tamci pod drzwiami stoją już od południa, bo bali się spóźnić. Ale i oni nic nie wiedzą. A zresztą choćby otwarli zaraz, postoicie „grażdaneczko“ godzinki pół i więcej, bo „oczeredj“ długa. Od siebie naliczyłem 80 ludzi...

Obywatelki umilkły, tuląc się do muru i odwracając od złego wiatru, który — jak to bywa przed zachodem słońca — ciął coraz boleśniej odsłonięte policzki.

Tak stojąc, nie zauważyły, jak drzwi „bułocznej“ uchyliły się, jak przez nie wyjrzała ubrana w papachę głowa i jak ta głowa spojrzawszy urągliwie na ogon wycedziła parę niedbałych słów do stojącego najbliżej obywatela — poczem znikła. A obywatel, który wisiał u klamki sklepu od południa i skrzepł prawie od mrozu, znalazł teraz jeszcze dość siły, aby odwrócić się i krzyknąć:

— Nie dają, nic nie dają i dziś nie będą dawać.

— Mówią, że jutro — odcinał, już na gorączkowe pytania płaczliwym głosem — ale czor.. kto ich tam wie. Człowiek tyle namarzł...

* * *

Chlebne fabryki! — matką ich była chorobliwa megalomanja, a płodem ten kiepski, nieregularnie wypiekany i dostarczany chleb. Zagranicą cieszą się te fabryki doskonałą opinją, urabianą na podstawie licznych reklamowych fotografij — wewnątrz zaś kraju opinja ta dostosowana raczej do wartości produkcji — ma charakter zdecydowanie ujemny.

Może zresztą, jeśli chodzi o samą jakość wypieku — należałoby część odpowiedzialności zań, przenieść także na wydział zaopatrzenia kooperacji, który zajmuje się dostawą mąki. (Piekarnie należą też do systemu kooperatywnego. Np. w Leningradzie podlegają L. S. P. O. — leningradzki związek spożywców towarzystw, w Moskwie M. S. P. O. itd. Mąką ta stanowi bowiem mieszaninę żyta lub jęczmienia z kukurudzą i bobem!! Chleb wypieczony z niej ma wygląd mokro-gliniasty i w istocie zawiera nieraz taką ilość wilgoci, że wymaga suszenia w stanie pokrajanym.

Ten nędzny chleb jest często jedyną stroną obywateli sowieckich i symbolem fatalnej gospodarki, która wygłodziła Rosję.

Krak.



Zaśnieżona ulica Moskwy.

KATEDRA WILEŃSKA OCZEKUJE RATUNKU.



Największy z gobelinów wileńskich.

Zdjęcia J. Bułhaka — Wilno.

Groźna żywiołowa powódź, która na wiosnę zeszłego roku nawiedziła Wileńszczyznę, podmyła fundamenty Katedry wileńskiej. Katedra ta wzniesiona z fundacji króla Jagiełły na miejscu świętego gaju, powstała w zaraniu chrześcijaństwa na Litwie. Wielokrotnie zniszczona wskutek napadów i działań wojennych, odnowiona w stylu neoklasycznym, jest jednym z najpiękniejszych klejnotów architektonicznych całej Wileńszczyzny.

Otóż obecnie bazylice wileńskiej grozi poważne niebezpieczeństwo zawalenia się. Dla ratowania tej świątyni zawiązał się Komitet pod przewodnictwem J. E. ks. biskupa K. Michałkiewicza, który powołał specjalną komisję techniczną, złożoną z inżynierów i geologów, pod kierownictwem inż. Zubelewicza. Komisja ta przystąpiła natychmiast do pracy, wybierając projekt inż. Wąsowicza, który polega na systemie kilkudziesięciu pali żel-betonowych, wtłaczanych pneumatycznie na głębokość 12—14 m. Każda grupa pali po osiem pod każdą kolumnę frontową bazyliki, ma być połączona belkami, na których spoczną dźwigary żelazne. Dźwigary te stworzą pierścień, obejmujący trzon kolumny, który zostanie nieporuszony.

W czasie robót pomiarowych Komitetu w Katedrze dokonano cennego odkrycia krypty królewskiej, w której spoczywały zwłoki królowej Barbary Radziwiłłównej i Cecylji Renaty.

Akcja ratunkowa na rzecz Katedry wileńskiej wymagała jednak znacznych funduszów. Popłynęły wprawdzie składki na ten cel, ale bardzo skąpe, wobec wyczerpania finansowego społeczeństwa i bezrobocia. Dlatego to w ostatnich dniach Kurja metropolitalna pod obuchem konieczności, nie widząc znikąd ratunku, postanowiła wydobyć ze skarbca katedralnego bezcenne gobeliny z XVIII wieku i sprzedać je w kraju lub zagranicą, aby uzyskać fundusze na dalsze prace konserwacyjne. Gdy tylko wieść o tym planie doszła do szerokiej publiczności, powstało wielkie zaniepokojenie, zwłaszcza w sferach artystycznych, które wszczęły akcję protestacyjną. Gobeliny bowiem wileńskie — jest ich wszystkiego dziesięć — są wspaniałemi zabytkami flamandzkiego przemysłu artystycznego z XVIII-go wieku. Dwa z nich ze scenami z historji Dawida i Salomona, ofiarował w 1666 r. Katedrze Kazimierz Leon Sapieha. Pochodzą one ze znakomitej serji, tkanej w zakładach Jakóba van der Zeunem w Brukseli około 1660 r., wedle kartonów Abrahama van Diepenbeck. Do tej grupy należy trzeci gobelin (scena z polowania) z daru prawdopodobnie także tegoż Sapiehy.



Ogólny widok Katedry wileńskiej. Na rzecz ratowania której Kurja Metropolitalna zamierza sprzedać bezcenne gobeliny ze swego skarbca.

Druga grupa 6-ciu gobelinów przedstawia sceny mitologiczne z historji Apollina. Wykonane zostały prawdopodobnie w Brukseli. Największy gobelin przedstawia dowódców na rasowych koniach, na tle pochodu wojska i krajobrazu z cyklu kartonów malarza króla Ludwika XIV, de Honudt'a.

Gobelinów w Polsce jest niewiele, największy zbiór znajduje się na Wawelu, drugi w skarbcu wileńskim. Polska pozbywać się ich nie może. Dlatego dobrze się stało, że Rada Zrzeszeń Wileńskich artystycznych stanęła murem w obronie gobelinów katedralnych. Nie wolno nam bowiem pomniejszać dorobku polskiej kultury, choćby na cel tak wzniosły, jak ratowanie Katedry.



Jeden z gobelinów, znajdujących się w skarbcu Katedry wileńskiej, pochodzący z warsztatu brukselskiego z drugiej połowy XVII -go wieku.

FELIKS DANGEL (Wilno).

NA WILCZYM TROPIE.

Czy znacie historję „Zbója"? Małego, z głodu i mrozu, konającego wilczka, przywiózł gajowy do dworu w Jezioranach. Tam z szczenięcia wilczego wyrósł na dużego wilka koniarza i zaprzyjaźnił się z człowiekiem, a gdy tego nie stało, powrócił do knieji, by wieść, tak jak i jego współplemieńcy, żywot dziki, drapieżny i wolny...

Było to przed kilku laty w cichym dworze na Polesiu, od tego zaś czasu okoliczni włościanie zauważyli, że każdej zimy i coraz to częściej, stada wilcze nachodzą okolice i zaścianki, a zimy obecnej, która opóźniła się nieco, „epidemja wilcza" wystąpiła z całą gwałtownością. Jak tylko fioletowe mroki z zimnego nieba na chusty śniegów spłynęły, jak tylko umilkły gwary ludzkie po wsiach, a żórawie studzienne skrzypieć przestały, co rychlej zamykano wszystką „żywiołę" po stajniach i oborach, a nawet i ludzie sami zrzadka tylko i z konieczności, na dworze się pokazywali...

A wilki głodem i długiemi mrozami wymęczone, coraz to natarczywiej ku ludzkim „sadybom" się cisnęły.

U gajowego Andrejki dwa psy zacięły, które borowy z chaty na noc wypuszczał dla pilnowania obejścia.... A pieski to były nie jakieś tam „nikczemne" i słabe, ale psy duże, a co najważniejsze, bardzo dobrze do polowania przysposobione. Żona Andrejki przez sen zda się słyszała, jak coś na dworze zaskomlało żałośnie, ni to dziecińskie płakanie, ni to pieskowy jazgot. I zaraz wszystko ucichło. Bo wiadomo, nie chciało się kobiecie w takie zimno na dwór wychodzić, bo i niedobrze i niebezpiecznie. Może to i złe duchy tak zawodzą. Na rano zaś piesków ani śladu. Chodził gajowy, wołał i nic.

— Złodzieje ci, co psy zabrali?

Aż tu, jak do lasu wychodził, patrzy, leży piesek. Margas się nazywał, bez ducha i cały bok wygryziony, a dalej to kosteczki tylko po suczce i ślady wilkowe wydeptane, jakby wesele odprawiali...

Dwa dni potem nowy skandal. Organista do Włodawy wracał. Ze chrzcin to i trochę „napiwszy" się był. Siedzi na saniach i jedzie. Prawda, nie on sam prowadzi, tylko kobyłka, bo drogę znająca była, aż tu za kuźnią pod samem miasteczkiem zaświecą jakieś ślepia.

Organista otrzeźwiał odrazu, bo za dawnych lat tam cmentarz był i duchy potępione takie sztuki mogły pokazywać. Konia zaciął, na rynek wpadł i alarmu narobił. Mało co brakowało, aby straż pożarną obudzili. Ludzie zaraz poszli, z wikarym, którego uprosili, na dawne cmentarzysko. Patrzą, duchów niema, a ślady wilcze są.

Wilki! Wilki!...

Symboliczne zwierzęta złej zimowej doli, nieodłączna dekoracja obrazków p. t. „Głód i Wojna".

Od czasów tej wielkiej wojny, wyludnienia ludzkich osiedli, datuje się niesłychany wprost przyrost zwierzostanu wilczego we wschodniej Polsce.

Prasa codzienna czerni się wiadomościami o wilczej pladze, a tam nawet, gdzie wilk od dziesiątków lat niewidziany przeszedł do klechdy czy legendy ludowej, w prowincjach cichych i cywilizowanych, zjawia się wilk we własnej osobie w pancerzu z szarego zimowego futra i nocami wyciem przeciągłem oznajmia się, że jest i że powrócił z barni do knieji.

W b. Królestwie Kongresowem, tuż pod Warszawą, w powiecie błońskim, notowano kilkakrotne pojawienie się wilka, w rezerwatach łowickich w Spale, letniej siedzibie Pana Prezydenta, zwinne stada jeleni, prześladowane zostały przez wilki, o których w całem Skierniewickiem dawno słuch zaginął...

A Wileńszczyzna, Polesie?...

Dwory kresowe zdobią i zdobiły skóry wilcze jako dywany, u kłusownika można zawsze dotąd było dostać skórę wilczą w cenie od 10 do 30 złotych. W roku jednak bieżącym w kilku powiatach województw wileńskiego i poleskiego, „gorączka" wilcza wystąpiła z całą gwałtownością.

Głód bywa złym doradcą i jak macocha wypędza z knieji, to też w powiecie lidzkim nie należy do rzadkości zobaczyć sunące przez pola szare, zwinne i śmigłe sylwetki wilcze.

Ofiarą wilków padają w pierwszym rzędzie dzikie zwierzęta. Gdy wielkie śniegi pokryją grubym korzuchem podszycie puszczy, co utrudnia ucieczkę przed szablami kłów wilka, ginie w zaciętej walce o byt, ciężki w galopie łoś. Szybkiemu rozrostowi wilczego zwierzostanu przypisać również należy zupełny zanik w kresowych kniejach saren...

Zrzadka tylko dają się słyszeć wypadki zabicia człowieka przez wilki.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej danem jednak było autorowi niniejszego, oglądać zwłoki, a właściwie szczątki żołnierza łącznika, którego z jednego oddziału artylerji do drugiej placówki wysłano. Żołnierz wyjechał pod wieczór konno, będąc uzbrojonym jedynie w rewolwer i szablę. Ponieważ do południa dnia następnego nie zameldował się w żadnym z oddziałów, wysłano patrol na poszukiwania. I w brzeźniaku, opodal rzeki Berezyny natrafiono na ślad...

Były to dosłownie: wystrzelony rewolwer Nagana, szabla i para butów...

Opodal na śniegu widniały dwa ciała wilcze ze śladami cięcia szablą, resztki żołnierza (łachmany jakieś i wielka kałuża krwi i szczątki ciała), w których najbieglejszy anatom nie mógłby się zorjentować. Konia wilki zagryzły opodal, miał on przeciętą krtań i naderwany bok...

W Dawidgródzkiem, na Polesiu, nie zapomniano jeszcze, przed kilku laty rozegranej tragedji biedaczki jakiejś, która z małą trzyletnią córeczką szła nocą od wsi do wsi...

Z matki i dziecka znaleziono tylko porwane chuściny i jakieś tam strzępy...

Wilk przeczuwając grożące mu ze strony człowieka niebezpieczeństwo, atakuje zazwyczaj w przystępie ostatecznego głodu, bądź wścieklizny...

Wilk jednak jest jednym z najgroźniejszych niszczycieli zwierzyny. Ze znanych w Polsce gatunków wilka, siłą i odwagą przewyższa wilka-owczarza, wilk-koniarz.

Budową i barwą zbliżony do swego pobratymca wilka syberyjskiego, o szerokiej piersi i płaskiej czaszce, teroryzuje ludzkie osady, zabiwszy stróżujące psy, śmiało wdziera się do obejść gospodarskich...

W zanarwiańskiej części Puszczy Białowieskiej, gdzie znajdują się rezerwaty łosi — wilk w ciężkie dni zimowe staje się klęską dozorującej administracji borów.

W czasie ostatniej mej bytności w Puszczy, pokazywano mi łosie zabite przez wilki. Wielkie, równo zadane cięcie pod szyją, robiło wrażenie ciosu szablą. Zaiste, wielka to musi być siła i zwinność wilcza w zadawaniu śmiertelnego razu...

Do walki z klęską wilczą organizują się tu i ówdzie dorywcze wyprawy i ekspedycje... Takie lub inne nadleśnictwo urządza obławę, sprasza na nią stacjonujący oddział KOP'u i okolicznych myśliwych... rezultatem jednak takiego polowania (obława, sznury) bywa zaledwie jednak znikoma ilość upolowanych rabusi knieji.

Teoretycy i filozofowie myśliwstwa, zamknięci w wygodnych gabinetach, zwalczają bardzo skutecznie wilczą klęskę... mniej lub więcej utalentowanem piórem na łamach prasy.

O faktycznym jednak stanie klęski wilczej wie tylko kresowa wieś i kłusownicy.

— — — — — — — — — —

Zapadał szary zmierzch zimowy. We dworze zapalono lampę, a w pokoju stołowym gościnnie zaszumiał samowar. Ciepło białych pokoików miło przygarnęło ludzi, którzy po całodziennej myśliwskiej wędrówce w ośnieżonej knieji garnęli się do ciepłego komina. Przed dniem wiele jeszcze zrobić należy... Broń i naboje przygotować do jutrzejszej wyprawy, pogaworzyć z paniami, które do z pustemi rękami powracających myśliwych, ustosunkowały się .sceptycznie, no i parę robrów przed snem nie zaszkodzi...

W sieni jednak zadudniły ciężkie jakieś kroki... Wszedł włodarz Daniłko:

— Panie! wilki za stodołą.

Jak zelektryzowani poruszyli się ku broni myśliwi... Bez czapek, bez kożuchów, jak kto mógł, pobiegliśmy przez folwark ku uroczysku.

Zadyszany zatrzymałem się za węgłem długiego budynku śpichlerza... Na białą kartę ośnieżonego pola z gąszczu drzew sunęły jeden za drugim wilki...

Na czele zaś z łbem nisko opuszczonym sunął wielki wilk — koniarz...

Poznałem go.

To był on. Trop w trop śladów swoich ciężkie łapy słaniając, biegł „Zbój"... Zbój... okoliczny morderca i rabuś obór...

Zmierzyłem pospiesznie i nie widząc w zmroku muszki na lufie, palnąłem...

Mgiełka dymu zakołysała się w mroźnem powietrzu...

Wilki pobiegły szybciej... Szedł i Zbój...

Widzę go jeszcze na pagórku i słyszę pospieszne strzały moich kamiltonów...

— Dostał?

— Nie!

— Pudło, sromotne pudło...

Przez roziskrzony mroźny śnieg styczniowej nocy biegł wilczar — krwawy królewicz knieji.



Stado wilków.
Zdjęcie z Polesia.

Obrazki z nad Polskiego Morza.

JESZCZE, CZY JUŻ?...

Karnawał, a więc cóż dziwnego: i polskie wybrzeże urządziło maskaradę — przywdziało syberyjską maskę... Śnieg i mróz ujęły się pod ręce, a wicher morski zatacza się, pijany... ach! kompletnie pijany... Mówi o tem wyraźnie czerwone światło na PIM'ie, sygnał.

Woła w porcie syrena mgławicowa: „morze jest już porządnie zawiane — nie wierzcie mu, baczność!"

Wszędzie biało, aż do bólu, a to tembardziej... że morskie powietrze specjalnie umie szczypać. „Karnawał" szalejący na groźno, na „niema żartów", na „nie przelewki"...

I nagle — na tem północno-biegunowem tle, jakiś fragment obrazu z południa, ze słodkich powiewów, z pod słonecznych niebios: kąpiący się ludzie!...

Niespodzianka jest tak wielką, że zrazu myślę o czarach telewizji. Ale logika drze się w niebogłosy: pójdź i dotknij!...

Zbliżam się, dotykam: żywi!!

Cóż więc — u krocset kryzysów: zabłąkani z lata, czy na lato nieco zarychło przybyli? Jeszcze letnicy — czy już letnicy?

Jeszcze, czy już?...

Oto, pytanie...

Nawiązując ściślejszy kontakt z filją „sezonu" na gdyńskiem wybrzeżu i przekonuję się, z pewnym szwankiem dla zdziwienia, że: i jeszcze — i już, gdyż są to letnicy nie robiący przerwy, że się tak wyrażę: okrągłoroczni letnicy.

Letnicy stuprocentowi? Można wyrazić się i tak.

Bądź co bądź, dla nich powiedzionka w rodzaju: „plaża jest miłą", „orzeźwiająca kąpiel morska" itp. nie są w najmniejszej zależności od Einsteina — wręcz odwrotnie, są wyraźnem naigrywaniem się z jego teorji względności.

Kąpią się i basta. A czy, jak mówi Boy, „piątek czy świątek" — lipiec czy styczeń, to ich nic nie obchodzi.

A rezultat? Ich kostjum kąpielowy niszczy się o wieleprędzej, niż kostjum kąpielowy letników zwykłych, ale zdrowie ich niszczy się o wiele mniej. Tak, przynajmniej, zaręczają. Zaręczenie to może śmiało być zaręczeniem w miejsce przysięgi, bowiem, jak to stwierdza poniższa fotografja, wygląd „plażowców" nie pozostawia nic do życzenia.

Niby jeden rozsądny pomiędzy dwoma szaleńcami, lub — kto wie? — jeden szaleniec pomiędzy dwoma rozsądnymi, ulokowałem się pomiędzy nimi.

Zwycięstwo futra, czy też trykotów?

Co do mnie, wolę futrzaną porażkę, niż nie wiem jaki trykotowy triumf.

Oj, dziwowały się, dziwowały zziębnięte mewy — a fale bałtyckie uszom swoim wierzyć nie chciały, iż się ktoś o tej porze, w zamiarach kąpielowych, do nich przybliża. Wreszcie, dziwić się przestano, uwierzono. Bo, i jakże: codziennie, systematycznie, — z nieodzownym płaszczem kąpielowym, z nieodzownem pokrzykiwaniem i pluskaniem, ba! z niebylejaką szkołą pływania i łamańcami gimnastycznemi na brzegu. Brakuje tylko gramofonu i napojów orzeźwiających — tak! bardzo maluczko, a byłoby klasyczne „plażowanie".

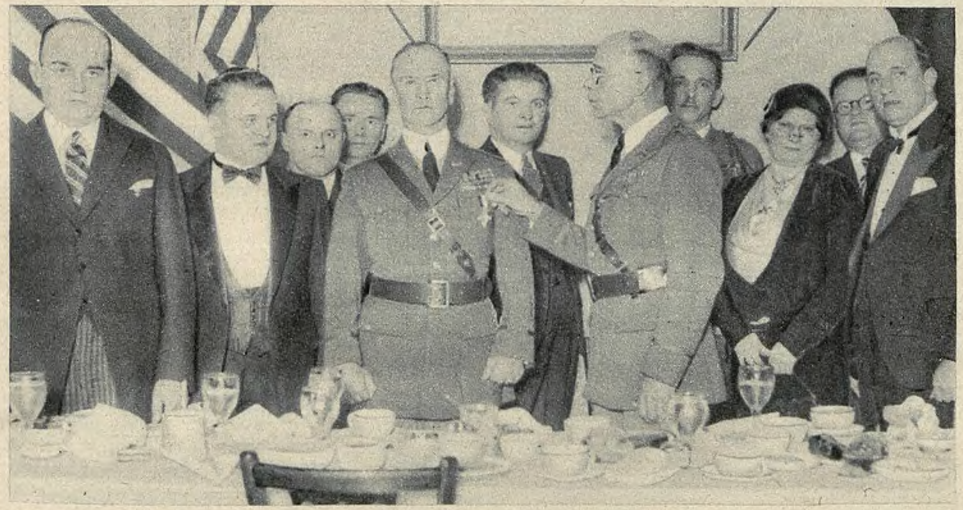
Dopiero teraz jasnemi mi się stają niektóre wadliwości naszej organizacji: kogóż, bowiem, należało wysłać na Wyspy Niedźwiedzie, jak nie tych zimy srogiej ulubieńców? Zyskaliby oni tam „obywatelstwo honorowe" — a wieleż zaoszczędziłoby się na ciepłej bieliźnie, futrach, opale etc.!

Zygmunt d'Ereeville.



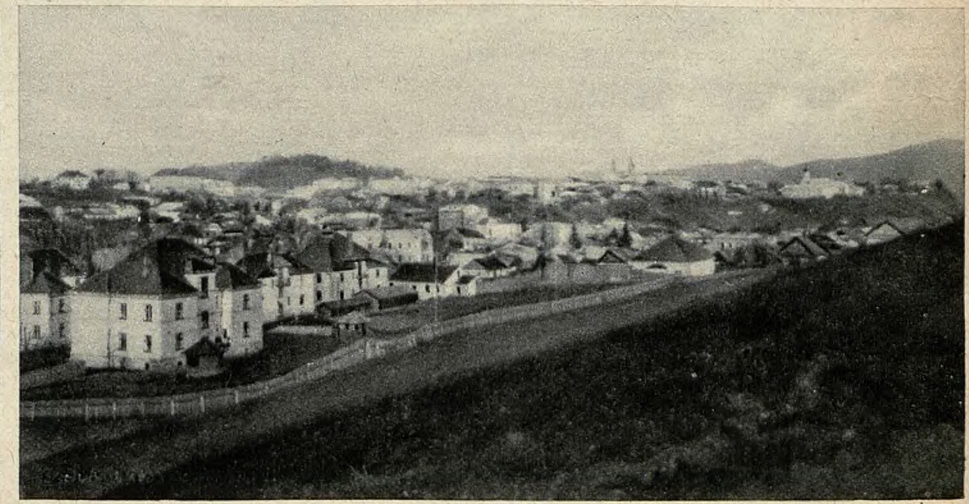
Kąpiel w przerębli morskiej.

POLONJA AMERYKAŃSKA DEKORUJE GEN. PERSHINGA.



W listopadzie ub. r. odbyła się w lokalu „Legjonu polskiego armji amerykańskiej" w Chicago uroczystość udekorowania gen. Franka Pershinga, dowódcy chicagowskiego okręgu wojskowego, krzyżem zasługi „Legjonu polskiego armji amerykańskiej". Uroczystość dekoracji: od lewej p. Świetlik, cenzor Związku Nar.-Polsk., w środku gen. Pershing i kpt. Legjonu Głód, p. Napieralska, prez. Polek w Ameryce, na końcu p. dr. Tytus Zbyszewski, konsul generalny.

RODAKOWI ZA OCEANEM W ODPOWIEDZI.



Jeden z naszych Czytelników z Chicago, ukrywający się pod pseudonimem Charles C., zwrócił się do naszej redakcji z prosbą, aby w najbliższym numerze naszego pisma umieścić fotografje ze Strzyżowa, Brzozowa, lub Sanoka, skąd pochodzi znaczna ilość jego znajomych. Czyniąc zadość temu życzeniu, zamieszczamy powyżej ogólny widok Sanoka. Przypatrzcie się drodzy Rodacy swojemu ojczystemu miastu. Rozrasta się ono pod rządami Rzplitej i rozwija. Chluba Sanoka jest fabryka wagonów.

OD »ŻEGLARZA« DO »MOSTU«.



Jeden z najwybitniejszych polskich autorów scenicznych, Jerzy Szaniawski (na zdjęciu), którego sztuki, jak „Żeglarz", „Adwokat i Róże" odniosły tak wielki sukces nietylko na scenach krajowych, ale także i na zagranicznych, napisał nową sztukę p. t. „Most", której premjera odbyła się w teatrze Narodowym w Warszawie, zdobywając uznanie krytyki i publiczności. Sztuki Szaniawskiego podobają się, ponieważ są pisane ze znajomością sceny, a równocześnie poruszają odwieczne problemy duszy ludzkiej, w aktualnem ujęciu i tchną wysokim idealizmem, który tak żywo odbija od brutalnej rzeczywistości, będącej wyrazem dnia współczesnego.

KULTURA W KAJDANKACH.



Europejczycy zwykli swoje panowanie nad ludami kolorowemi wychwalać i nazywać pochodem kultury. W rzeczywistości jednak kultura ta niesie murzynom, czy wyspiarzom z Oceanji tylko paciorki szklane, barchany, wódkę i choroby zaraźliwe, a zabiera im wolność, złoto i inne kosztowne surowce, uwalnia ich wprawdzie od drobnych dolegliwości, ale zmusza do pracy dla białego człowieka. Na zdjęciu więźniowie z Kouang Tcheou Wan, zajęci wyplataniem krzeseł. Nogi mają skute kajdanami, a na szyje ich włożono ciężkie kargany. Kolonja ta należy do Francji.

KONKURS NA NAJPIĘKNIEJSZE TANGO.



Z pomiędzy trzech tang, które wyróżniło jury w ostatniej rewji „Morskiego Oka", plebiscyt publiczności wybrał znaczną ilością głosów tango Nr. 2. Następną zkolei ilość uzyskały tanga Nr. 1 i Nr. 2. Po otwarciu kopert okazało się, że autorem tanga Nr. 2 jest pan Szymon Kataszek, który otrzymał też 1-szą nagrodę „Morskiego Oka". Nagrody Towarzystwa Syrena-Rekord, oraz Zaiksu zdobyli pp. Leon Boruński i Henryk Wars.

JESTEM POSĄGOWO PIĘKNA...



KAREN MORELY, znana gwiazda filmowa, uchodząca za klasyczną piękność. Posiada duże wyraziste oczy i świetnie skrojone usta. Twarz rasowa i dumna. *Please Credit Hurrel, M. G. M.*

Kino ma niewątpliwie m. i. i tę jeszcze zasługę, że pokazało nam całą gamę typów kobiecych i kobiecej urody. Oglądaliśmy na filmie maleńkie i rozkoszne jak Lilian Harvey, smukłe, chińskie figurynki jak Anna May Wong, szczupłe nawskroś nowoczesne kobiety jak Brygida Helm, niewielkie i zwinne, jak płomień brunetki, jak Dolores del Rio. Wśród tych gromady typów najrzadziej spotykanym okazem jest niewątpliwie uroda posągowa, artystki o t. zw. królewskiej postawie.

Wynika to stąd, że tego rodzaju typy okazały się dosyć niewdzięczne, jeżeli chodzi o film. Film — podobnie jak scena — wyogromnia wzrost ludzki, czego dowodem jest, że w życiu codziennem taka Mary Pickford, albo zmarła Lia de Putti, przedstawiają się lub przedstawiały się zupełnie niepozornie. To też kobieta wysoka na filmie, robi wrażenie czegoś ogromnego i przytłaczającego. Praktyczni Amerykanie stworzyli nawet odrazu receptę na odpowiednie wymiary, przepisując wysokość, rozpiętość ramion, objętość bioder, nogi, kostki itd. Wymiary te wyraźnie forytowały kobiety niewielkiego wzrostu o proporcjonalnej i zgrabnej budowie.

Przypominamy sobie dobrze, że wysmukłe i wysokie kobiety, jak np. fatalny demon Nita Naldi, robiły wrażenie wręcz odpychające na scenie. To też artystek o urodzie majestatycznej i królewskiej używa się najczęściej do filmów, że tak powiemy „ceremonjalnych", gdzie przedstawia się jakieś dworskie przyjęcie, bale itd. Wówczas na tle wielkich sal wyniosła sylweta artystki przyjmuje właściwe proporcje.

Jedną z artystek o takiej posągowej budowie jest Karen Morely, ostatnia kreacja Hollywoodu, której wróżą dużą przyszłość. Uchodzi ona za najbardziej posągową artystkę wśród dzisiejszych aktorek amerykańskiego filmu.

z. g.

ROWEREM PRZEZ SUDAN.

Juba, Mongalla (Sudan), grudzień 1932.

Przed kilku jeszcze laty — departament Mongalla — to jest południowo-wschodni rąbek potężnego Sudanu, żył pod grozą jednej z najstraszniejszych chorób tropikalnych, która rok rocznie zbierała obfite żniwo wśród czarnych Latuka i Bari. Chorobą tą była śpiączka, a spowodowywała ją mała mucha, podobna do tej naszej i ani ludzie, ani zwierzęta jej się nie ostały.

Największe powagi lekarskie wzięły się do pracy, a że choroba ta szalała przedewszystkiem we wioskach nisko położonych — rząd ewakuował wszystkie miejscowości, dotknięte chorobą.

Była to dla tubylców rzecz niebardzo miła. Murzyn wogóle niechętnie zmienia sadybę — choćby wiedział, że w niej zginie — ale uległ przemocy i to na swoją tylko korzyść. Zaroiły się stoki gór, sklecono nowe kapany, koło których na noc u ognisk rozpalonych kładło się nieliczne już bydło, a mucha „Tse-tse“ albo wyginęła, albo się przeniosła w inne strony. Dziś wszystko wróciło do swych dawnych siedzib, dalej pędzi swój nędzarny byt.

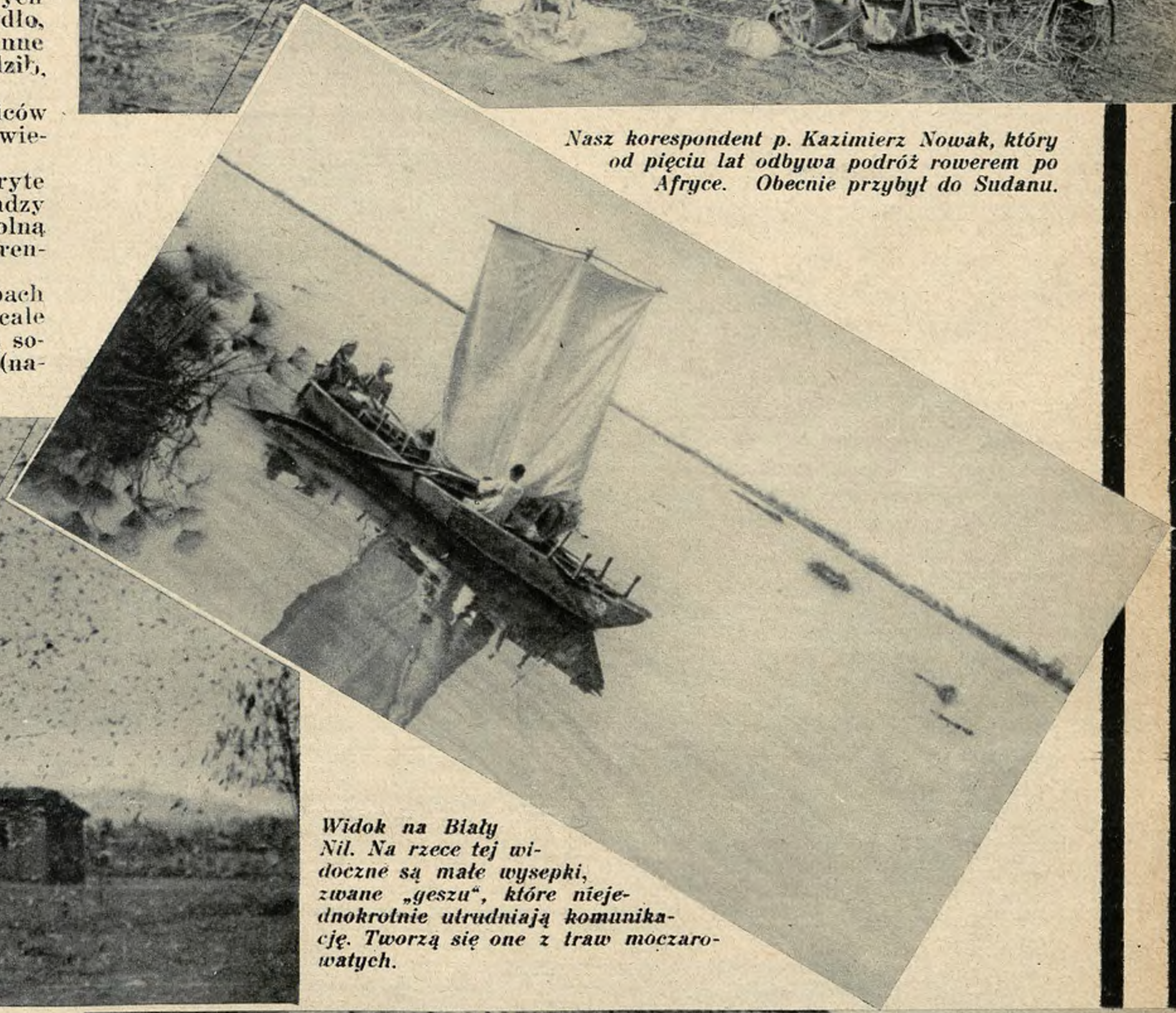
Nędzarny! — o! — uwierzyć proszę, że to życie tubylców w tych stronach, to coś tak pierwotnego, że się wprost wierzyć nie chce, że to wiek XX-ty.

Nędzne kapany z błota i chrustu uklecone — przykryte strzechą, pod którą dzień cały wysiadują zupełnie nadzy mężczyźni, a często i kobiety, które zrzadka tylko dolną część ciała przykrywają, czy to skórką zwierzyny, czy frendzełkami ze skóry, czy blaszek.

Kobiety Latuka prawie bez przerwy trzymają w zębach fajki i pykają żółtym cuchnącym dymem z tabaki — wcale nieprzyrządzonej. Mężczyźni zbici na grupki, opowiadają sobie szczegóły rannego polowania — popijając „merisse“ (napój z „durry“), bez której obyć się nie mogą.



Nasz korespondent p. Kazimierz Nowak, który od pięciu lat odbywa podróż rowerem po Afryce. Obecnie przybył do Sudanu.



Widok na Biały Nil. Na rzece tej widoczne są małe wysepki, zwane „geszu“, które niejednokrotnie utrudniają komunikację. Tworzą się one z traw moczarowatych.



Chmura szarańczy. Zdjęcie z Mongalla w Sudanie.

Od czasu do czasu ponad małemi pólkami „durry“ (rodzaj zboża) przeleci żarłoczna szarańcza — łodygi tylko zostają — i wtedy głód przychodzi, głód taki, że prawie na szkielety wysychają ludzie, a jednak tkwią na miejscu bezczynnie, ani się bronią, ani nawet nie starają się polepszyć swego bytu.

Gdy przejeżdżam drogą tu i tam, spotykani ludzie biorą w rękę fałdy tatuowanego brzucha i pokazują, że głodni! — a tyle tu wokół tyle stepów, żyznych miejsc pod uprawę! Jest woda, są ręce do pracy, ludzie, naogół silnie zbudowani, umieją nawet pracować — nie umieją ale sami zabrać się do pracy. A gdy ktoś z litości do nich się zbliży (myślę o misjonarzach), to choć nie atakują — potakują głową nawet — jednak wkońcu czarny ich mózg pojąć nie może, dlaczego ten „biały“ tak do nich się zbliża, widzą jakiś podstęp i całkiem poprostu uciekają!

Młodzież tylko, widząc pierwszych wychowanków misji, zbliża się do nich, lecz i w tych młodych mózgach wpojony jad nieufności, zawracają z drogi — i wegetują dalej jak pra-praojce...

Rankiem — grudniową porą — oznacza go zachód „Krzyża Południa“ — nagie cienie włóczą się po stokach „Imatou'u“ (góry o szczycie 3.000 m.) czy innych gór, wokoło sterczących ponad stepem. W ręku oszczep i łuk — idą i idą. Zda się, że to jakieś upiory, a nie ludzie, bo przedzierają się przez zwarty gąszcz cierniowych krzewów, przez które Europejczyk, odząc w butach i ubraniu, ocieka krwią, a oni bosi i nadzy!...

Nad zwartą zielenią (w grudniu) podrównikowego lasu migocą jeszcze gwiazdy, lecz już powoli wstają zorze (dzień zaczyna się teraz parę minut po 6-tej i przez rok cały trwa 12 godzin). Las od czasu do czasu jakby zadrży z przerażenia — gdy potężny ryk lwa się rozlegnie; pod drzewem każdem, pod krzakiem, wśród puszczy — tajemnicze szmery słychać — czy to żmij, czy innych mniejszych zwierząt, które słysząc zbliżające się kroki, starają się skryć jak najlepiej.

Rozjaśnia się — słychać tętent niby 100 koni. Łamią się gałęzie, osuwają się kamienie po zboczu góry, a ci, którzy tuż przedemną idą, ściskają oszczep w dłoni, gotując się do rzutu. Zda się jakieś posągi zaklęte, z hebanu wykute — o doskonale odtworzonej muskulaturze ciała. Jeszcze chwila — i błyszczące ostrza ze świstem przeszywają powietrze. a równocześnie pokazuje się stado pięknych antylop. Trzy śmiertelnie ranione padają z łomotem — zostaję sam — wszystko rozbiega się za zranionemi i za lancami.

Podchodzę wyżej — i oczom wierzyć nie chcę. Poniżej, na polance, przeciętej wyzłoconą wschodem słońca wstęgą rzeki

Ciąg dalszy na str. 18-ej.



Typ murzyna ze szczepu Bari, zamieszkującego okolice Juba.

Ciąg dalszy ze str. 17-ej.

Kinati widzę przepiękny ogród zoologiczny. Są żyrafy — słonie — są gazele różnych odmian — a u stoku góry — ryjami przeorują ziemię potężne, czarne dzikie świnie — o dużych, błyszczących kłach. W nurtach rzeki gramoli się potworne cielsko hipopotana — a spłoszone pluskiem wody wodne ptactwo obsiada niby płatki śniegu okoliczne zarośla.

Słychać ryk lwa. — Głowy wszystkich zwierząt zwracają się w tę stronę, z której dochodzi ten ponury zew — jedynie słonie nic sobie nierobią z głosu króla puszczy. Grudzień to przecież miesiąc ich amorów — i potężny samiec wachlując się olbrzymiemi uszami zatacza kręgi w poszukiwaniu bogdanki. W chwili takiej lepiej z daleka patrzyć na jego zalecanki — bo to prawie śmiercią grozi — to też murzyni ani rusz niechcą mi towarzyszyć do rzeki. Wracać im śpieszno — zanadto korci „merissa“ a że i czwartą sztukę dobili — mają dość na dziś — i na jutro — i na wiele dni następnych. Każda z zabitych antylop to około 200 kg. mięsa, duże, piękne. — Oczy martwe, z pysków toczy się krwawa ślina...

Wracamy! — Teraz ja przodem idę, murzyni się wloką z ciężarem. Słońce które przed chwilą wytoczyło się na strop, pali ogniem, jakby kpiło sobie, że to grudzień, a więc zima przecież. Tu zimy ale niema nigdy, a rok cały tubylec nago chodzi, zupełnie nago. On przecież jutro znowu w bór się wbije, a ubranie by się wśród cierni podarło, skóra nie, a zresztą jeżeli tatułując ciało ani zębów niezaciśnie, to co znaczy, gdy mu cierń się wbije w ciało? — wyjmie i koniec!

Zbliżały się święta, a że przed świętami poczta miała nadejść do Juba, śpieszno mi było do tego miasta. Szmat drogi z Torit — około 100 mil.

Są dwie drogi, obie złe — wybrałem krótszą — która zarazem okazała się jeszcze gorszą od tej, którą przybyłem do Torit. Zaczęło się piekło istne z cierniami, które serjami wbijały się w silnie już zużyte „Michelin'y“. Na szczęście miałem sporo przyborów do łatania.

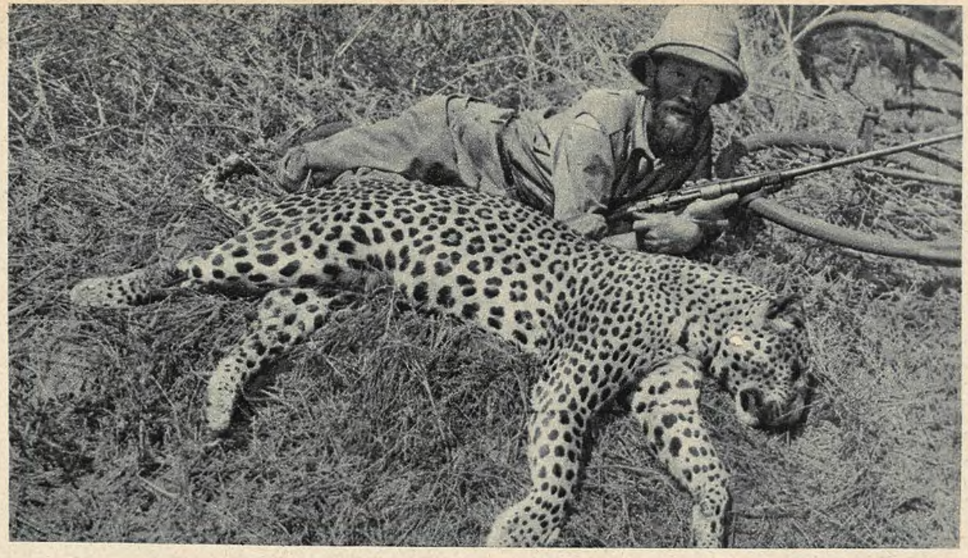
Dzień, ale w tych stronach, choć przez rok cały trwa 12 godzin, skończył się prędko i momentalnie prawie dziewiczą puszczę spowiła czerń. Wlokłem się trzymając w jednej ręce 2 oszczepy, drugą rower — znowu bez powietrza w dętkach.

Noc czarna, choć tuż nisko wisiały migotliwe gwiazdy. Z ledwością widziałem przed sobą wąską dróżkę leśną otoczoną cierniowemi krzewy, a czasem wprost brnąć trzeba było tunelem, utworzonym przez połączenie gałęzi drzew, rosnących po obu stronach dróżyny.

Zaczął się ponury rozchowor puszczy, który wystarczyć może, aby osoba o słabych nerwach zemdlała. O tej porze ani murzyn nosa nie wystawi z „kapany“, przed którą ognisko płonie.

Ale nie było drogi wyjścia. Tak droga, jak i otaczająca mnie puszcza cała pokryta suchą złotą trawą, wsród której rozpalić ognisko znaczy zginąć w płomieniach, a żadnej polanki ani jakiegoś innego miejsca odpowiedniego do rozniecenia ogniska nie było. Szedłem więc dalej...

Każdy krzew przydrożny tętniał życiem, każde drzewo. — Co chwila zrywały się stada „kur Faraona“ (podobne do naszych pantarek), czy innego ptactwa i krzykiem wypełniały względną ciszę nocy. To spłoszone antylopy załomotały w gąszczu, gdy ponury ryk lwa się rozległ w puszczy. Szedłem, mijały godziny!...



Lampart zabity w Mongalla.

Nagle podejrzany szmer usłyszałem za sobą — i jakby węszenie. Przystanąłem — drogę przegradzając rowerem. Szmer nie ustał — przeciwnie! — oko przywykłe do ciemności zobaczyło ciemny owalny punkt, coraz większy, bliższy... Jeden oszczep pod kątem 45 st. oparłem o rower, drugi gotowy do ciosu wprost (nie rzutu). Ryk przeraźliwy, trzask łamiącego się drzewca, wspartego o ziemię oszczepu. Krew ciepła, która blusnęła na mnie i cisza — rzężenie...

Czy zresztą taką chwilę można odtworzyć piórem?! — Mimo silnych nerwów, mimo zimnej krwi, obłędny lęk owłada całe ciało — działa raczej instynkt samozachowawczy, jak rozsądek, a potem, gdy nawet u stóp naszych zwali się potężny „król puszczy“ — sił brak, aby się radować!... Głowa ołowiem ciąży na karku, serce zda się niebije, a wokół tajemna cisza boru podrównikowego niby miljonem dzwonów dygoce... i gwiazd tyle, że aż taka jasność bije od nich, że patrzeć nie można...

Jest to prawie omdlenie, jednak instynkt samozachowawczy działa. Noc przecież — las dziewiczy wokoło i jeszcze takich przygód do rana być może dużo, sił trzeba i jeszcze rąz sił...

Przy zapałce widzę olbrzyma, o pięknej istotnie królewskiej budowie ciała. Łeb potężny, a w niedomkniętej paszczy z której wystają szkliste kły, sterczy zbawczy oszczep, który wydobyć trudno, utkwił gdzieś głeboko w mięśniach karku. Ani bym się nie posądził o taką siłę pchnięcia, ale to nie ja pchnąłem, haczykowato nacięty oszczep. To instynkt samozachowawczy! Drugi oszczep sieczny, tkwił w brzuchu — lew zatem rzucając się na mnie podskoczył i to dość wysoko.

Choćbym najchętniej noc był spędził w tem miejscu, aby rano zdjęcie zrobić dla miłych Czytelników — jednak jak w tym opętanym gąszczu bez pomocy ludzi zrobić zdjęcie? — a zresztą, ani zapasu wody, ani żywności, myślałem bowiem, że nocą stanę w Rejaf.

Stanąłem rano dopiero — tak śmiertelnie wyczerpany, obryzgany krwią, głodny, spragniony, obdarty, że naprawdę wystraszyli się mnie misjonarze! Duża szklanka wina greckiego — i zaszyłem się w łóżko! O! żeby Czytelnicy przeczuć mogli, co znaczy w takiej chwili łóżko!

...Święta były — polowałem pożyczonym karabinem, choć wcele myśliwym nie jestem z zamiłowania. Gryzł mnie smutek, tęsknota, i aby myślom wodzy nie popuścić, włóczyłem się w puszczy!

Taka inna ta puszcza od naszych polskich lasów — taka ponura — złowieszcza! I choć to grudzień, słońce ogniem pali — sięgając w cieniu 48° C. I to mają być święta Bożego Narodzenia? nie! Ale dla włóczęgi świąt niema! — o nie!

Ani świąt niema, ani odpoczynku, bo i jak odpocząć, gdy wszystkiego brak, ubranie podarte i buty i gumy, a tu jak na złość, pieniędzy, które nadejdą — choćby być ministrem — rozmnożyć nie można. Trzeba zatem w chwilach postoju i pracy szukać wśród otoczenia — i zamiast nocą spać się położyć, trzeba obcym wywoływać klisze, kopjować obrazki liczne, bo inaczej ani poczty nieraz wysłać nie można!

Tak przebyłem święta, choć tuż na ich końcu przyszło mi przeżyć znowu moment groźny! Bestja leopard zaczaił się na drzewie, około którego ryły ziemię dziki, na które polowałem. Padł strzał, dziki zbiegły, ale zato z drzewa do nóg mych przypadł potulny już leopard, o pięknem futerku, po którym wodzić mogłem pieszczotliwie dłonią. Tak więc w krótkim czasie stosunkowo u stóp mych widziałem lwa i leoparda — i może dlatego właśnie Sudan jest taki piękny!

Kazimierz Nowak (Rejaf).



Tańczące żebraczki ze szczepu Szilluk. Chude, jak śmierć i brzydkie, jak noc. ZDJĘCIA KAZIMIERZA NOWAKA.



Na lewo: Srebrno-biała peruczka balowa.

Na prawo: Oryginalna fryzura do kapelusza.

Poniżej: Grecka peruczka Brygidy Helm, kreacja Antoina.





Modna fryzura na codzień.





Peruczka balowa w kolorze szmaragdowym.

Stylizowana główka współczesnej kobiety.

Charakter i wyraz główki kobiecej zależy nietylko od rysów twarzy, lecz także i w znacznej mierze od sposobu noszenia włosów, które przez odpowiednie uczesanie albo nadmiernie powiększają głowę, lub też tylko uwydatniaja jej naturalny piękny kształt.

Ten ostatni sposób uczesania to zdobycz współczesnej kobiety. Od czasów bowiem średniowiecza, które na wzór Ewy w raju, stworzyło modę wolno puszczonych włosów, przepasanych tylko opaską ze wstążki lub metalowem czółkiem, począł się niesłychany rozwój damskiej koafjury, która w epoce roccoca doszła do absurdalnych form, kształtując na głowie piramidy z włosów, wstążek, piór, olbrzymich grzebieni itp. Renesans w sztuce, przeniknąwszy zwolna w życie prywatne jednostki, wyzwolił wkońcu kobiety z okowów dobrowolnie znoszonego niewolnictwa tej mody.

Powrót do greckich wzorów sprowadził modę węzłów i warkoczy, które po wojnie padły ofiarą tysiącznych nożyc, pozostawiając główkę kobiecą w aureoli krótkich włosów. Dyktatorzy fryzury damskiej z paryskim Antoinem na czele, przystąpili teraz do dzieła, poddając włos kobiecy starannej pielęgnacji i stwarzając z krótkich czuprynek najróżnorodniejsze fryzury, uwydatniające piękny kształt głowy, czyto w prostej pacholęcej fryzurze, czy w kunsztownem uczesaniu falistej ondulacji, czy wreszcie w misternych lokach najnowszej mody, których nie znały wytwornisie inych epok.

Bez szpilek i grzebieni, bez całego balastu niedawnej jeszcze fryzury, przy pomocy wiecznej ondulacji, bez której nie byłby całkowitym obraz naszej ery, powstaje współczesne uczesanie głowy, które ma swój styl wybitny, odróżniający się korzystnie na tle wymyślnych koafjur dawnych wieków.

Zamieszczone powyżej zdjęcia przedstawiają fryzury Antoina w malarskiem ujęciu malarza Raoh Schorr'a. **J. Z.**

NA NARTACH W GÓRACH ŻYWCZAŃSKICH.

Narty sunęły ostrożnie, jakby w obawie zakłócenia ciszy gór i nietkniętej białej powłoki śniegu. Przed nami rozpościerały się nienaruszone przez nikogo białe grzbiety gór, za nami zostawał tylko lśniący ślad, jedyny, który wtargnął w majestatyczną ciszę gór. Dziś tak trudno o teren mało uczęszczany, rozkoszujemy się więc naszem „sam na sam" z naturą, tem więcej, iż przebyty w dniu wczorajszym odcinek Babia Góra—Pilsko pokryty był śladami nart turystów. W pogoni za „bezludnemi" terenami trzymamy się od Babiej po Wielką Raczę granicy polsko-czeskiej. Wspaniała cisza, doskonałe warunki śnieżne, a co najważniejsze, nigdzie nie założony ślad nart wpłynęły, iż tę część Beskidów uważamy za uprzywilejowaną. Droga nasza biegnie główną granią Beskidów, w niższych partjach przecinkami leśnemi, w wyższych rozległemi halami. Tura niezwykle urozmaicona i ciekawa; w ciągu całodziennej wędrówki ma się kilka lub więcej doskonałych zjazdów. Każde nowe wzniesienie kryje jakąś nową niespodziankę. Od północy i wschodu ukazują się nam coraz to nowe grupy Beskidzkie, od południa — krańce Tatr Zachodnich, Wielki Choez, Mała Fatra. Najwdzięczniejszym punktem widokowym jest **Bukowina.** Cudownie oświetlona biała Fatra nęci swemi terenami. Ślemy ku niej pełne uznania spojrzenie, lecz nie opuszczamy naszego terenu, bo wybrany przez nas odcinek pasa granicznego polsko-czeskiego jest mniej popularny i jeszcze ignorowany przez turystów. Jedyni napotkani ludzie to celnicy, przez których samotne placówki przechodzimy. Są nadzwyczaj uprzejmi, bo dla nich turysta, to zwiastun wszystkiego co się dzieje w świecie.

Jedynym i ciekawym śladem człowieka, to co kilkadziesiąt metrów na samej granicznej przecince leśnej przytwierdzone do krzewów zabite ptaki leśne, kawałki zajęcy, nawet saren! Oglądamy je ostrożnie, wiedząc, iż w gałęziach ukryta jest pułapka. To chłopi z okolicznych wsi zastawili je na lisy. Śladów zwierzyny moc. Najrozmaitsze zwierzątka przechodziły właśnie granicą — co jest najlepszym dowodem, iż ten szlak nie jest wykorzystany przez narciarzy.

Śladem leśnych mieszkańców dochodzimy do Przegibek. Tu, w stacji narciarskiej zatrzymujemy się na noc. Rankiem białe morze mgieł zalega doliny, grzbiety Małej Fatry wznoszą się jak wyspy. Mieliśmy zjeżdżać do Zwardonia, lecz cisza, poczucie samotności i cudownego, wyjątkowego odludzia nie pozwala na powrót do przeludnionego, rozkrzyczanego Zwardonia. Ta część szlaku granicznego należy do najefektowniejszych w Beskidzie wogóle. Rozsłonecznione hale zmuszają do „gary", to też na nadchodzącą noc trzeba zjeżdżać do przysiółków Rycerki Górnej. Następnego dnia jednak wracamy na grań, przyciąga ona bowiem nietkniętemi nartą terenami.

Dochodzimy nią na Wielką Raczę. Tu żegnamy wzrokiem Tatry, Fatry i Beskidy, a przedewszystkiem ciszę i nieskalaną szatę śnieżną. Zjeżdżamy utartym i wybitym szlakiem przez Kikulę. Pielgrzymki sapiących lub krzykliwych ludzi dodają specyficznego uroku pejzażowi.

Wychylając się przez okna biegniemy wzrokiem za bliskie grzbiety, wędrując w myślach po zostawianym coraz dalej pasie granicznym polsko-czeskim, jeszcze uroczym, bo nie wykorzystanym szlaku narciarskim.

Wanda Leszczycka.



Słoneczne południe w lesie pod Oszustem (powiat żywiecki).

Zdjęcia fot. Leszczyckiego — Kraków.



Widok na Rycerzową od południa.



Za białym śladem nart z Rycerki Górnej na Wielką Raczę.

ZŁODZIEJ W PUŁAPCE.



Kuna leśna w paści.

Pan Agenor, ziemianin z pod Sanoka przeglądał niezapłacone rachunki, zaprotestowane weksle i t. zw. „przeciągowe listy" i klnął na czem świat stoi. Odprawił już ekonoma a teraz zabrał się do wydawania rozkazów starej kucharce Magdzie:

— Więc jutro, mocium dzieju, na obiadek, kura w rosole. Mam sprzedawać drób za darmo, to wolę go zjeść.

— Rozumię proszę jaśnie pana, jaśnie pan mówi, że ma drób sprzedawać za darmo, to woli go zjeść.

— Naturalnie. A na legominę strucelek z jabłek, a nie żałuj kobieto ani masła, ani jaj, mam je sprzedawać za darmo...

— To jaśnie pan woli je sam zjeść.

— Oczywiście.

W tej chwili do rozmowy wmieszał się ktoś trzeci, był to Aron Morgenbesser, faktor z pobliskiej wsi. Już z miny jego widać było, że przynosi ważne nowiny.

— Dobry wieczór na pana dziedzica.

— Co tam słychać Aronie?

— Bardzo źle. Chciałem zredyskontować tego wekslu jaśnie pana, ale nie udało się. Teraz weksli nigdzie nie przyjmują.

Pan Agenor poszedł wściekły spać. Już leżąc w łóżku jeszcze mruczał do siebie: ale czasy! Żyto 15, krowa 50, masło po zł. 2.— i jak tu żyć? Człowiek chodzi bez grosza, nawet sobie w karcięta zagrać nie może. Jak Boga kocham koniec świata. Nawet weksli nie redyskontują!

Nazajutrz, kiedy pan Agenor wstał do śniadania, Magda zakomunikowała mu niebową wiadomość.

— Proszę jaśnie pana, kury dzisiaj nie będzie.

— Jakto nie będzie?

— Ano, bo z przeproszeniem łaski wielmożnego pana, cosik wszystkie kury w nocy zjadło.

— Nie może być.

Okazało się, że Magda mówiła prawdę, w chlewku bowiem zamiast pięciu kur, widniały tylko okrwawione pióra.

— Kuna, zawyrokował pan Agenor i nagle twarz mu się rozjaśniła. Zawołano Łaszczuka (nieraz stawał przed sądem za kłusownictwo, ale zawsze zapewniał, że był niewinny) i kazano założyć mu paści. Łaszczukowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Przygotował wszystko jak należy i zareczał, że żywot kuny można obliczyć co najwyżej jeszcze na 24 godzin. No i słowa dotrzymał. Następnego dnia znaleziono kunę, uduszoną w paściach. Panu Agenorowi, aż gęba promieniowała z radości.

— Nareszcie będą pieniądze!

Przeczucia nie omyliły pana Agenora. Aron Morgenbesser, aż się głaskał z zadowolenia po brodzie, kiedy kupował skórkę z kuny. Zapłacił gotówką Zł. 50.—.

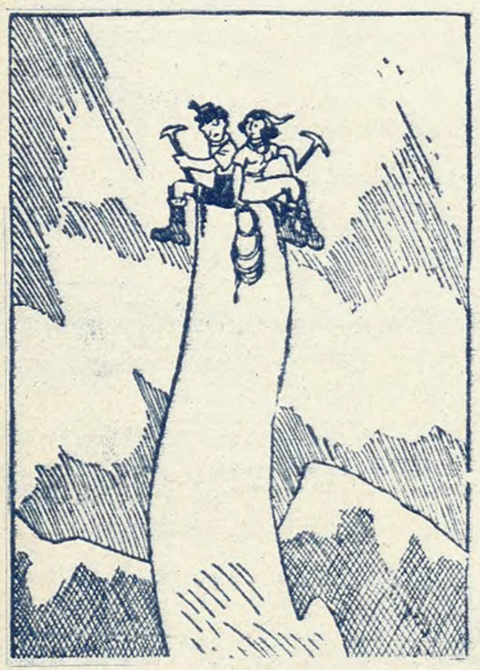
Tego samego dnia jeszcze pan Agenor siedział w klubie i grał w karty. Oczy mu promieniowały radością.

— No tak, mruczał z zadowoleniem, tasując karty, dzięki tej kunie, człowiek podreperował się i mógł oderwać się od swych przyziemnych zajęć i znaleźć czas na jakąś „intelektualną" rozrywkę.

J. L.

Humor Światowida

Po sprzeczce.



Najlepiej, żeby sobie każdy poszedł w swoją stronę...

Siła przyzwyczajenia.



Gdy automobilista zaczyna jeździć na nartach.

W dobie bezrobocia.



— Nareszcie człowiek, który ma pracę...

W zimowej stolicy.



— Widziałaś tę krystjanię Stasia?
— To on już znowu z inną kobietą chodzi?!

Sport zimowy.

— Wyścigi były rzeczywiście imponujące! Zwycięzca przebiegł 5 kilometrów i potem jeszcze przeskoczył płot wysoki na 2 metry!

— Sztuka, przy takim rozpędzie...

Znalazła się rada.

— Czy twój mąż jeszcze wciąż tak bez powodu zazdrosny?

— O nie, już teraz ma powód...

Język międzynarodowy

W pensjonacie „Juhasówka" odbywa się z okazji Makabjady wielki międzynarodowy bal. Już od rana rozlegają się w willi junackie pohukiwania oraz potupywania. W programie mnóstwo atrakcyj — dla mężczyzn i dla kobiet. Dla kobiet największą atrakcją będą mężczyźni, dla mężczyzn kobiety. To też w myśl tego odpowiednio ułożono nagrody. Królowa balu otrzyma puhar — pierwsza nagroda męska: pocałunek królowej balu, druga nagroda: biała noc z królową balu, trzecia nagroda: małżeństwo z królową balu — i nagroda pocieszenia — rozwód z królową balu.

Goście zaczynają się schodzić. Cudowne stroje i nastroje.

— Popatrz, popatrz Sala — jaka ona dziś ładna.

— Ona ładna? To ja już wolę tego blondyna co z nią przyszedł, przynajmniej miejscami wygląda na mężczyznę.

— Ale ona ma cudne nogi...

— Nie mogę zauważyć — ona ma za krótki oddech i za krótkie nogi. Zresztą jej ojciec to był fabrykant giętkich mebli...

— Sala ty jesteś wymagająca... ja chciałabym mieć przynajmniej jedną taką nogę, jak ona ma dwie.

Orkiestra zaczyna grać „How do you do mister Brown". Do sali podchodzi typowy blondyn z typową twarzą. Typowy Szkot. Widać, że jest oszczędny i przywykł tańczyć dla oszczędności bez muzyki.

— Gdy panią trzymam w objęciach, nie słyszę nawet muzyki.

— Czuję to — odpowiada Sala — jaką pan ma ładną spódniczkę.

— To szkocka. Ach gdyby pani widziała stado moich kozic, które codziennie wypędzam na hale, gdybym mógł zagrać na mych dudach... jestem Szkotem z krwi i kości... taka szkocka dusza bez kontusza...

Sala, chcąc się przekonać, czy tancerz jej mówi prawdę, podchodzi do okna i wyrzuca pięciogroszówkę. Szkot nic. To fałszywy Szkot — myśli zawiedziona Sala. Blondyn odprowadza ją na miejsce. Podchodzi do następnej panienki, której przedstawia się jako Szkot. Panienka chce się przekonać czy to prawda i znowu wyrzuca 19 groszy przez okno.

Już wśród towarzystwa rozeszły się pogłoski, że ów Szkot jest fałszywy, gdy nagle na salę wchodzi d r u g i Szkot z workiem drobnych monet.

— Słuchaj Moniek — teraz ty idź zbierać pieniądze pod okno, a ja będę robił Szkota.

Sala zrażona do Szkotów szuka upojenia w objęciach hiszpańskiego toreadora.

— Ach, pani jest jak ta nasza sala balowa — panno Salu.

— Co to znaczy co?

— Taka pełna...

— Pan jest impertynent — jak pan mnie trzyma — pan wogóle chyba porządnej panny nie miał w rękach — co — czy pan jest wogóle sportowiec?

— Jestem — panno Salu, mam stajnię ognistych byków, matadorów, jak ja daję mata bykom — ho, ho, pikadorzy to u mnie mucha...

— Panie, ale to nie jest sport zimowy.

— Ja jestem ognisty w czterech sezonach, błagam panią, bądź pani moją odskocznią życiową, moim pierwszym krokiem narciarskim, będę ci wierny jak Telemark. A ty będziesz moją Putyfarą...

— Panie, pan mnie obraża — puść mnie pan zaraz...

Hiszpan puszcza Salę, lecz nie opuszcza sali. Podchodzi do innej, mizernej panienki.

— Oj, co pani tak siedzi, co — wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę, pietraszkuje się pani — chodź pani, zatańczymy ogniste tango...

— Pan jest Hiszpan... to pan zna tę pieśń „jutro z Casablanci".

— Co nie mam znać. Pani jest cudna, a ja jestem jak tonący.

— Dlaczego tonący?

— Bo tonący to nawet deski się chwyta.

Mizerna panienka obraziła się też. Poszła do bufetu na hiszpański tort.

— — — — — — — — — — —

Wszedł na salę najbardziej tajemniczy cudzoziemiec. Włada doskonale szpadą, ale nie włada żadnym znanym językiem. Podobno jest przedstawicielem jakiegoś azjatyckiego państwa. — Nikt nie potrafi się z nim rozmówić. Cudzoziemiec siedzi na uboczu i nudzi się.

— Tak, tak, martwią się gospodarze balu — najtrudniejsze to porozumienie się — jaka szkoda, że nie istnieje jeszcze prawdziwy, powszechny język międzynarodowy.

Zabawa wre w najlepsze. — Wtem wbiega na salę posługacz i woła:

— Dolar spada...

Cudzoziemiec, nie rozumiejący żadnego języka, Hiszpan nietaktowny, Szkot oszczędny, kilku Francuzów, Anglików, Bułgarów i Łotyszów rzuciło się ku posługaczowi.

— To niemożliwe — wołają jednocześnie wszyscy cudzoziemcy — po polsku.

Geer.

Rozwiązanie z Nr. 3.

REBUS: Na różne nogi, różne są drogi.

SZARADA: Niemcy chcą się zbroić i świat niepokoić.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 3 nadesłali:

L. Bronner, Kraków; St. Effert, Poznań; H. Zadarnowski, Dubno; „Niunia", Rzeszów; R. Mendrala, Rzeszów; J. Nowakowa, Kraków; L. Lenartowski, Poznań; J. Krupa, Kraków; Z. Fonferko, Przemyśl; Fr. Wiśniewski, Warszawa; Harcerze Szkoły Handlowej, Rybnik; J. Zieliński, Zbąszyń; T. Burman, Kraków; St. Goliński, Toruń; J. Świerczyńska, Lwów; Bron. Studencki, Słotwina; Miecz. Bill, Pychowice; „Manfred"; M. Fischler, Lwów; Zb. Jaworski, Stanisławów; Bol. Kostrzyca, Kraków; „Styczeń", Warszawa; J. Obtułowicz, Węgierska Górka; Ł. Kowal, Stołpce; H. Turowiczowa, Kraków; R. Dergiman, Wilno; J. Englert, Lwów; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; J. Stefańczyk, Pabjanice; A. Majerowicz, Rzeszów; St. Beśka, Stołpce; J. Stolarski, Łódź; M. Lampkówna, Kraków; Br. Grzegorska, Kraków; J. Naftaniec, Kraków; H. Gintrowski, Kraków; J. Czerwiński, Kowel; A. Olszewska, Krosno; M. Strubel, Warszawa; H. Cieślikówna, Kraków; **Katarzyna Garusówna, Warszawa (zł. 30.—)**; Ir. Lesińska, Kępno; inż. J. Modrzejewski, Lublin; Cz. Kozłowski, Warszawa; M. Niekraszówna, Wilno; H. Płużkówna, Bielsko; M. Jagusiński, Kraków; inż. A.

Za fotografje i artykuły niezamówione, a nadesłane, bądź przyniesione, redakcja „Światowida" nie odpowiada.

Szuksta, Warszawa; J. Paszucha, Kraków; M. Pacześniowska, Katowice; J. Nowakowa, Kraków; L. Przechadzka, Piotrków; A. Sztwiertnia, Ustroń; M. Fr. Jarocka, Warszawa; J. Janyst, Łódź; H. Raczyńska, Łódź; W. Stachiewicz, Wilno; M. Szewiakowa; T. Cieszewski, Wilno; C. Ołtarzewska, Warszawa; B. Napiórkowska, Skotniki sand.; Ed. Sienkowski, Kraków; H. Krasowska, Sambor; Z. Boulange, Baczków; St. Matuszkiewicz, Sułkowice; Wł. Bułka, Brodnica; J. Szymańska, Dębieńsko Stare; D. Herbstmanówna, Warszawa; Z. Pieracki, Wilno; „Emerytka“ — Wilno; M. Lipińska, Białystok; E. Brzozowska, Warszawa; T. Mazurek, Wilcza Dolna; J. Szarfenberg, Warszawa; **Ignacy Wołkowicki, Strzyżów (zł. 20.—)**; J. Zapiór, Kraków; M. Zapiór, Kraków; Kaz. Lilpop, Warszawa; Z. Płaszyńska, Oświęcim; „K. W. Radom“; St. Skoczyńska, Warszawa; M. Szajdholc, Warszawa; Fr. Ks. Trzciński, Piotrków; Tad. Szemetyłło, Warszawa; Irka i Zymek z Żychlina; St. Genser, Częstochowa; „Apollo“, Ozorków; J. Maziarz, Ozorków; M. Broszkiewiczówna, Kraków; K. Puchowicz, Warszawa; A. Papee, Katowice; K. Stankiewicz, Sosnowiec; J. Antonowiczówna, Równe; Cz. Kaszubska, Sieradz; Br. Reichman, Borszczów; N. Reichman, Borszczów; Bl. Reichman, Borszczów; W. Tyblewski, Poznań; S. Bierówna, Rohatyn; J. Tyblewska, Poznań; W. Siuta, Kołomyja; J. Kubiczek, Kraków; „Abiturjent“, Lwów; Z. Wasilewska, Komorów; Ir. Muszyna, Kraków; St. Mucha, Kraków; A. Rotter, Kraków; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; W. Kęcik, Warszawa; kpt. L. Hauschild, Nowy Targ; T. Zacherowa, Jaworzno; J. Czołba, Poznań; „Wilnianin“, Dubno; H. Praszkierówna, Kalisz; Jerzy Buki, Kalisz; J. Stefańczyk, Pabjanice; A. Bahr, Warszawa; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; G. Bartoszewska, Poznań; W. Newacka, Poznań; H. Czaplina, Poznań; J. Janczewski, Wilno; plut. Michał Szymko, Podbrodzie; Kaz. Suchy, Brodnica; **Pawełka Kryglówna, Karwina (zł. 10.—)**; W. Machlejdówna, Warszawa; W. Kortylewicz, Poznań; Ir. Popiołkówna, Pabjanice; Wł. Pochmarski, Lwów; ks. L. Klementowski, Tarnopol; Dr. H. Opielińska, Środa; A. Borowicz, Poznań; A. Onyszkiewicz, Lwów; Zdz. Fischbach, Września; Miecz. Liś, Kraków; Wład. Gajowa, Poznań; St. Biesiada, Ozorków; Wł. Milianowicz, Jarosław; Bron. Bereza, Węgrów; M. Schmidt, Dąbrowa Górnicza, J. Rembieliński; Włocławek; H. Chromcewiczowa, Lublin; Janek S., Warszawa; W. Stribrny, Katowice; Stan. Mikowska, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Katarzynę Garusównę, Warszawa (zł. 30.—), Ignacego Wołkowickiego, Strzyżów (zł. 20.—), Pawełkę Kryglówną, Karwina (zł. 10.—).

Redakcja „Swiatowida“ wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

SZARADA.

(ułoż. M. Wysocka, czł. hon. Warsz. Klubu Szarad.).

Na marginesie feljetonu Z. Nowakowskiego w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym“ z dnia 9 stycznia 1933 r.

Tylko wściekły ryzykant odważyć się może
Pisać dziś do druku. Bo wiadomo przecie,
Że „Pisownia Polska“ przewrót robi w świecie.
A tyle przewrotów — było już... — mój Boże!

Wzrok błędny utkwiwszy w dal nieokreśloną.
Dusza moja się **„czwarte i trzecie“** rozpacznie,
Przed srogim trybunałem, co mnie sądzić zacznie.
Gdy napiszę *wdal* razem, zamiast rozdzieloną...

Alboli w pisarskim **„piątym-drugim“** zasię
Siądę *nakoń* — właściwie czytaj: *napegaza...*
Tak *zapanbrat* z Pegazem... Czy to nie obraza?
Ujdzie mi *nasucho?* pytam się Was ja się...

Uczucie mam, jak gdybym spadła z **„raz-czwartego“**,
Bo jakaż **„szósta-siódma“** najlepsza dla człeka,
Gdy nie wie jak napisać, płacze się, docieka,
I dociec nie może sensu nijakiego!

„Czwarta-szósta“ Boska! Za mąż wydać marzę
Rozkoszną dziewuszkę, niczem polne kwiecie,
Co taka **„trzecia-szósta“**, jak pszeniczka w lecie;
Lecz jakże jej klarować, i jakże jej wskażę,
Że nie idzie się *za mąż*, a *zamąż* się... wieje!
Że taki mąż z przyrostkiem — to może gadzina?
Widzę, jak się robi **„pięć-szósta“** dziewczyna,
Jak jej się *spodnóg* grunt usuwa... *Mdle-eje!!...*

Czuję łzy *foczach*, jak sam NOWAKOWSKI!
Ten Zygmunt *nadzygmunty*, co humorem tryska!
(Czytajcie GO skrzętnie, czytajcie ludziska).
Spańska się uklonię... Wam zostawię troski!

Rozwiązujcie szarady. I tę **„całą“** także
I w „Polskiej Pisowni“ i tak dalej, dalej...
Byleście od **„raz do cztery“** r a z e m napisali,
No i dzielcie, jak chcecie — ot np. *wsza-kże.*

Za rozwiązanie niniejszej szarady redakcja „Światowida“ przeznacza

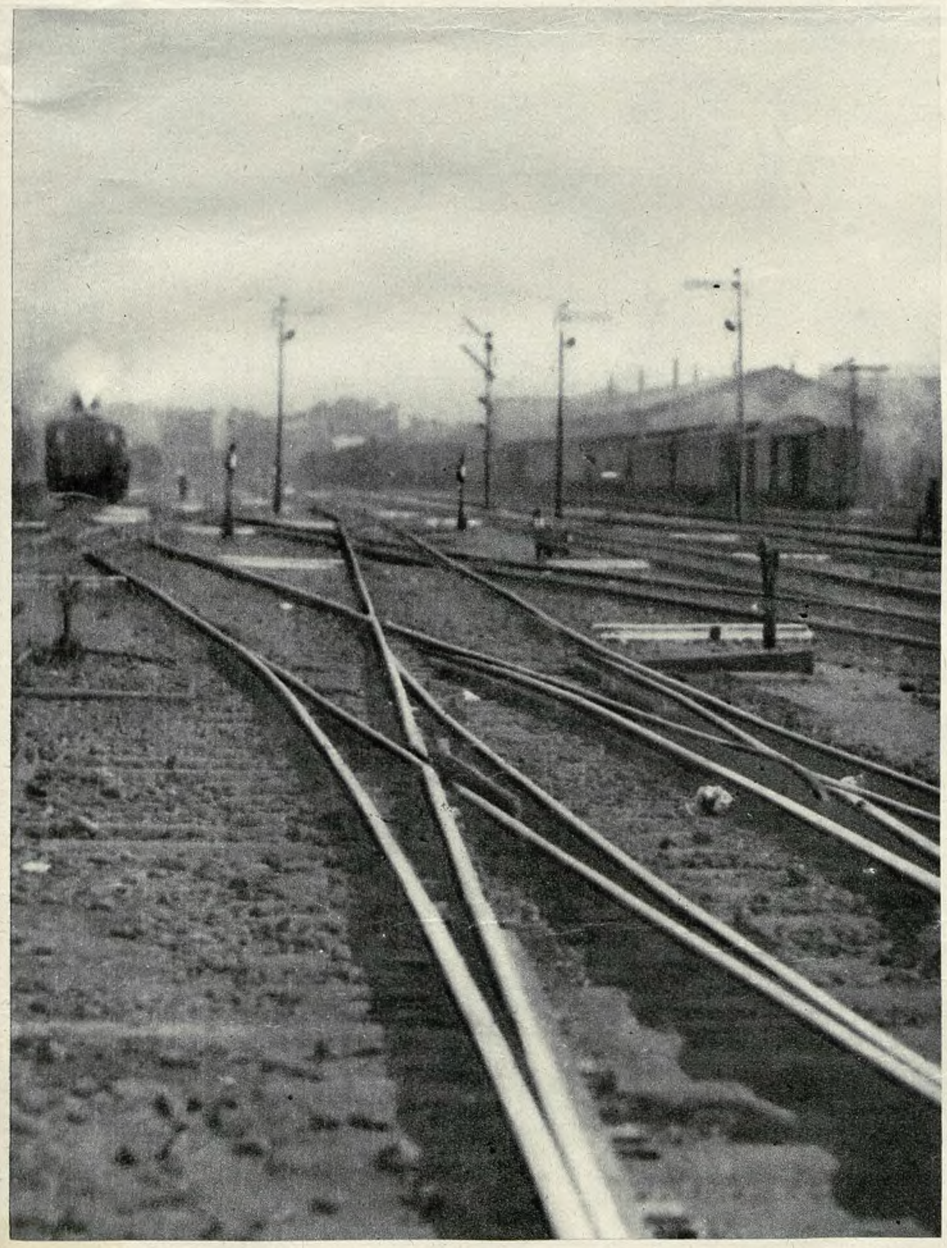
Trzy nagrody.
Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 11 lutego 1933 r. wraz z załączonym kuponem.

Kącik Fotoamatora.

„Fotogeniczność stali i żelaza“

Zmierzch techniki szlachetnej spowodował, że więcej zwracamy uwagę na motyw, koło którego przedtem przechodziliśmy nie bacząc, że może być on wyzyskany do sfotografowania. Jesteśmy świadkami, że wystawy fotograficzne obsyłane są zdjęciami o motywie fragmentarycznym silnym w swym wyrazie i oddającym wrażenia bezpośrednio, bez uciekania się jak wyżej wspomniałem do przetłoku, czy też gumy. Jednem słowem nauczyliśmy się patrzeć na przedmioty nas otaczające a tym nauczycielem było niewątpliwie kino. Kino bowiem, którego rozwoju jesteśmy świadkami, szukając nowych dróg, zaczęło unikać teatralności a dawało nam możność zobaczenia motywów pośrednich, otaczających główną akcję. Nie trzeba było długo czekać, że ta metoda, „naprowadzająca“ wywrze duży wpływ na fotografję martwą. Jednym z tych modeli, który daje nam „kopalnię“ motywów, są urządzenia techniczne ze stali i żelaza, t. j. kolej, fabryki itd. Przy swojej fotogeniczności ujęcie motywu staje się rzeczą indywidualną, albowiem każdy fotoamator, patrząc się na krzyżujące się szyny, czy też na powietrzne przewody i konstrukcje żelazne, będzie podchodził do tematu ze swego punktu widzenia, przez co powstaje różnorodność obserwacyj. Zwracamy jednak uwagę, że jeżeli przy zdjęciach na terenie fabrycznym amatorzy nie napotkają na przeszkody, to przy wykonywaniu zdjęć na terenie dworców kolejowych należy uzyskać odpowiednie zezwolenia od władz, albowiem specjalne przepisy zakazują fotografowania w obrębie urządzeń kolei. *J. Szw.*





Odpowiedzi redakcji.

Z. K. WARSZAWA. Radzimy z zaufaniem zwrócić się do jednej z firm fotograficznych w Warszawie, która poleci Panu odpowiedni aparat, albowiem w odpowiedziach redakcji, ze względów zasadniczych nie polecamy typów aparatów fot.

R. ZAKRZEWSKI, LWÓW. Reprodukcje obrazów należy wykonać na kliszy artochromatycznej z zastosowaniem filmu.

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI

Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.

Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

W PĘTACH MROZÓW.



Ostatni tydzień stycznia przyniósł zniżkę temperatury i prawdziwie syberyjskie mrozy, które ogarnęły całą Polskę, dochodząc miejscami do — 30 C. Zimno to dało się we znaki szczególnie ludziom, którzy z racji swojego zawodu, zmuszeni są przez cały dzień przebywać na ulicy. Na zdjęciu dorożkarz krakowski przy swoim koniu. Koń zajada obrok, zmarznięty jednak dorożkarz przerywa mu tę ucztę, bo właśnie zjawił się gość, a z nim i zarobek. Ag. fot. „Światowid".